

# Tajemnica Marii Rogêt



EDGAR ALLAN POE

## Tajemnica Marii Rogêt

DOPEŁNIENIE DO *Zabójstwa przy rue Morgue*

TŁUM. STANISŁAW WYRZYKOWSKI

Es giebt eine Reihe idealistischer Begebenheiten, die der Wirklichkeit parallel läuft. Selten fallen sie zusammen. Menschen und Zufälle modifizieren gewöhnlich die idealistische Begebenheit, so dass sie unvollkommen erscheint, und ihre Folgen gleichfalls unvollkommen sind. So bei der Reformation; statt des Protestantismus kam das Luthertum hervor.<sup>1</sup>

*Novalis, Moral Ansichten*

Po pierwotnym ogłoszeniu drukiem opowiadania o Marii Rogêt dołączone do niego przypiski mogły wydawać się zbyteczne. Ułynęło już jednak kilka lat od czasu, kiedy zaszła tragedia, która posłużyła mu za osnowę, i okazała się potrzeba zachowania ich w dalszym ciągu, jako też dodania kilku słów wyjaśniających myśl przewodnią. W pobliżu Nowego Jorku padła ofiarą zbrodni młoda dziewczyna, Maria Cecylia Rogers, i aczkolwiek śmierć jej wywołała silne i długotrwałe zaniepokojenie, mimo to spowijającej ją tajemnicy nie zdołano przeniknąć do chwili, kiedy niniejsza nowela powstała i pojawiła się w druku (listopad 1842). Pod płaszczykiem opowieści o losach gryzетки<sup>2</sup> paryskiej autor wdał się tu w drobniuzgowy wywód szczegółów istotnych, jako też równoległych z nimi szczegółów nieistotnych rzeczywistego zabójstwa Marii Rogers. W ten sposób wszelkie dowodzenie oparte na zmyśleniu daje się zastosować do prawdy, zaś celem było właśnie poszukiwanie prawdy. Tajemnica Marii Rogêt była pisana z dala od widowni zbrodni i bez żadnych innych środków śledczych prócz zebranych przygodnie dzienników. Wiele zatem szczegółów uszło uwagi autora, który byłby się z nimi zapoznał<sup>3</sup>, gdyby był na miejscu i zajrzał osobiście do wszystkich zakątków. Wypada jednakowoż nadmienić, że zeznania dwu osób (z których jedną jest Madame Deluc z noweli), poczynione w różnych czasach i na długo przed ogłoszeniem opowieści, potwierdziły w zupełności nie tylko wniosek ostateczny, lecz bezwzględnie wszystkie ważniejsze szczegóły hipotetyczne, które do wyprowadzenia tego wniosku posłużyły. (E. A. P.)

Niewiele jest osób, nawet wśród najspokojniejszych myślicieli, które by w pewnych razach nie ulegały przypływowi nieuchwytniej, lecz niemniej wstrząsającej do rdzenia, połowicznej wiary w rzeczy nadprzyrodzone, gdy jakiś zbieg okoliczności przybierze tak osobliwy na pozór charakter, że intelekt nie może pogodzić się z wnioskiem, jakoby to był tylko zbieg okoliczności.

Odczuwania tego rodzaju — gdyż połowiczne wierzenia, o których mowa, nie miewają nigdy pełnej mocy myśli — odczuwania takie rzadko kiedy dają się całkowicie stłumić, i to tylko przy pomocy teorii przypadkowości, czyli — jak brzmi nazwa techniczna —

Wiara, Los

<sup>1</sup>Es giebt eine Reihe idealistischer Begebenheiten... (niem.) — Istnieje szereg zjawisk natury idealnej, które przebiegają równoległe do rzeczywistości. Rzadko się z nią pokrywają. Ludzie i przypadki zwykle wpływają na tego rodzaju zjawisko, tak że wydaje się niedoskonałe, a jego konsekwencje również są niedoskonałe. Tak było z Reformacją; zamiast protestantyzmu pojawił się luteranizm. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>gryzетка (daw., z fr. gris: szary; grisette: tania, szara tkanina ubraniowa) — we Francji: młoda dziewczyna pracująca jako szwaczka, ekspedientka, modystka; nazwa od koloru odzieży noszonej z konieczności przez takie osoby. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>byłby się z nimi zapoznał — przykład użycia czasu zaprzeszczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość. [przypis edytorski]

rachunku prawdopodobieństwa. Rachunek ten jest w swej istocie wyłącznie matematyczny; i oto mamy do czynienia z taką osobliwością, iż surowa ścisłość wiedzy znajduje zastosowanie do świata cieniów i do duchowości zjawisk, najbardziej nieuchwytnych w dziedzinie spekulacji.

Nadzwyczajne zdarzenia, które na życzenie podają obecnie do wiadomości publicznej, tworzą — jak to się okaże z kolejności czasu — pierwsze odgałęzienie całego szeregu zaledwie przystępnych pojmowaniu ludzkiemu zbiegów okoliczności, którego następczą, czyli ostateczną część znajdują czytelnicy w opowieści o zabójstwie Marii Cecylii Rogers w Nowym Jorku.

Gdy przed jakimś rokiem, w pracy zatytułowanej *Zabójstwa przy rue Morgue*, przystępowałem do skreślenia kilku nader znamiennych rysów umysłowości mojego przyjaciela, Chevaliera<sup>4</sup> C. Augusta Dupina, ani nie przechodziło mi przez myśl, że mogę jeszcze powrócić do tego przedmiotu. Odmalowanie tej umysłowości było jedynym moim celem, a cel ten w zupełności został osiągnięty w toku szczególniejszych okoliczności, rozwidniających właściwości psychiczne Dupina. Mógłbym być przytoczyć jeszcze inne przykłady, nie byłbym jednak wykazał niczego więcej. Atoli ostatnie wypadki oraz ich osłupiający przebieg rozbudziły nagle we mnie wspomnienia dalszych zdarzeń, które wniosą do mej opowieści jakby nastrój wymuszonego wyznania. Dowiedziawszy się jednak tego, co niedawno słyszałem, byłbym zaprawdę postąpił dziwnie, gdybym dłużej milczał o tym, co widziałem i słyszałem tak dawno już temu.

Po rozwikłaniu tragedii, która osnuwała śmierć Madame L'Españay i jej córki, Chevalier przestał nagle zajmować się tą sprawą i pogrążył się znowu w swym dawnym nawyku posępnego marzycielstwa. Mając zawsze skłonność do abstrakcyjności, przystosowałem się z łatwością do jego usposobienia. Mieszkaliśmy dalej w naszych pokojach przy Faubourg Saint-Germain<sup>5</sup>, zdaliśmy przyszłość na cztery wiatry i śniliśmy spokojnie w teraźniejszości, omotując marzeniami czczość otaczającego nas świata.

Wszelako w marzeniach tych zdarzały się przerwy. Jak łatwo się domyśleć, współudział mego przyjaciela w dramacie przy rue Morgue nie pozostał bez wpływu na wyobraźnię policji paryskiej. Nazwisko Dupina nabrało rozgłosu wśród jej agentów. Prostota wnioskowań, za pomocą których zdołał przeniknąć tę tajemnicę, nie była znana prefektowi ani też nikomu innemu prócz mnie samego; nie było zatem nic w tym dziwnego, że sprawę tę rozdepto niemal do rozmiarów cudu, a zdolności analityczne Chevaliera wywołały podziw dla jego intuicji. Właściwa mu szczerść byłaby go skłoniła niewątpliwie do prostowania tych mylnych mniemań o sobie, ale niedbałość jego usposobienia nie pozwalała mu nadal zajmować się przedmiotem, który już od dawna przestał go obchodzić. Zdarzyło się zatem, iż sam nie wiedząc kiedy stał się jakby gwiazdą przewodnią policyjnych oczu i niejednokrotnie zwracano się do niego, by przyjął służbę w prefekturze. Jednym z najbardziej pamiętnych zdarzeń było zabójstwo młodej dziewczyny, nazwiskiem Maria Rogêt.

Wypadek ten nastąpił w jakieś dwa lata po okropnościach przy rue Morgue. Maria, której imię chrzestne i nazwisko rodowe przypomni niewątpliwie nieszczęsną „robotnicę z fabryki cygar”<sup>6</sup>, była jedyną córką wdowy, Estelli Rogêt. Ojciec odumarł ją w dzieciństwie. Odtąd matka i córka mieszkały razem przy rue Pavée-Saint-André<sup>7</sup>, skąd dziewczyna wyprowadziła się dopiero na osiemnaście miesięcy przed zabójstwem, które stanowi przedmiot niniejszego opowiadania. Matka przy pomocy Marii utrzymywała pensjonat. Trwało to aż do czasu, kiedy dziewczyna ukończyła dwudziesty pierwszy rok życia i kiedy wielka jej uroda zwróciła uwagę pewnego właściciela perfumerii. Miał on sklep w suterenach Palais-Royal<sup>8</sup>, a klientela jego składała się przeważnie z zuchwałych rzezimieszków,

<sup>4</sup>chevalier (fr.) — kawaler. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Faubourg Saint-Germain (fr. dosł.: przedmieście Saint-Germain) — historyczna dzielnica Paryża, znana z licznych rezydencji arystokracji. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>robotnicę z fabryki cygar — ofiara zbrodni, wspomnianej w przypisku autora. [przypis tłumacza]

<sup>7</sup>rue Pavée-Saint-André — Nassau Street w Nowym Jorku [rue Pavée-Saint-André w Paryżu obecnie nosi nazwę rue Séguier, znajduje się w dzielnicy La Monnaie; red. WL] [przypis autorski]

<sup>8</sup>Palais-Royal (fr.: Pałac Królewski) — pałac w centrum Paryża; dawna siedziba Ludwika XIV, następnie własność książąt orleańskich, którzy wokół udostępnionych publicznie ogrodów pałacowych zbudowali galerie mieszczące sklepy i kawiarnie, tworząc najważniejsze miejsce handlowe w mieście. [przypis edytorski]

niepokojących sąsiednie dzielnice miasta. Monsieur Le Blanc<sup>9</sup> zdawał sobie sprawę z korzyści, jakie mogły wyniknąć dla niego z obecności pięknej Marii w sklepie. Nie skąpił obietnic, które bardzo podobały się dziewczynie, natomiast spotkały się u matki z niejakim niedowierzaniem.

Zabiegi sklepikarza odniosły w końcu skutek i jego firma nabrała wkrótce rozgłosu dzięki powabom uroczej gryzетки<sup>10</sup>. Pracowała u niego przez jakiś rok, po czym znikła nagle, co wywołało wielkie zaniepokojenie wśród jej wielbicieli. Monsieur Le Blanc nie umiał nic powiedzieć o powodach jej nieobecności, a Madame Rogêt szalała z niepokojem i przerażenia. Dzienniki zajęły się natychmiast tą sprawą, zaś policja zamierzała już przystąpić do ścisłego śledztwa, gdy pewnego pięknego poranku, po upływie tygodnia, Maria, najzupełniej zdrowa, acz nieco smutniejsza niż zazwyczaj, zajęła znowu swe miejsce przy kasie sklepowej. Wszystkie wywiady, prócz poufnych, natychmiast ustały. Monsieur Le Blanc tak samo nic nie wiedział, jak poprzednio. Maria i jej matka odpowiadały na wszystkie pytania, iż ubiegłego tygodnia przebywała na wsi, u swych krewnych. Sprawa ta przycichła i poszła w zapomnienie, gdyż dziewczyna, chcąc widocznie ujść natrętnej ciekawości, rozstała się wkrótce z swym pracodawcą i powróciła do mieszkania przy rue Pavée-Saint-André.

W jakieś pięć miesięcy po tym powrocie pod dach rodzicielski znowu znikła nagle ku zaniepokojeniu swych przyjaciół. Trzy dni upłynęły, a nie było o niej wieści. Czwartego dnia znaleziono jej zwłoki, pływające na Sekwanie<sup>11</sup> w pobliżu brzegu, położonego naprzeciw dzielnicy, do której należy rue Saint-André, opodal od odludnej połaci Barrière du Roule<sup>12</sup>.

Okrucieństwo zabójstwa (gdyż od razu było widoczne, że popełniono zabójstwo), młodość i uroda ofiary, zaś przede wszystkim rozgłos, jaki zdążyła pozyskać, złożyły się na wywołanie silnego wzburzenia umysłów wśród wrażliwej ludności paryskiej. Nie przypominam sobie, by jakiś inny podobny wypadek wywołał odruch równie powszechny i równie potężny. Przez kilka tygodni nawet najważniejsze, bieżące sprawy polityczne zanikały w dyskusjach nad tym wszechpochłaniającym zagadnieniem. Prefekt zdobył się na niezwykłą energię, a władze całej policji paryskiej rozwinęły nadzwyczaj sprężystą działalność.

Po znalezieniu zwłok zrazu nie przypuszczano, by zabójca mógł długo ukrywać się przed dochodzeniami, które niezwłocznie wdrożono. Nie wcześniej niż dopiero po jakimś tygodniu uznano za właściwe ogłosić nagrodę za wykrycie zbrodniarza; wszelako nagroda ta wynosiła zaledwie tysiąc franków. Równocześnie dochodzenia odbywały się energicznie, acz nie zawsze roztropnie, i przesłuchano mnóstwo osób, ale bezskutecznie. Tymczasem ta niemożność znalezienia jakichkolwiek poszlak, zmierzających do rozwidnienia tajemnicy, podniecała wielce wzburzenie tłumy. Pod koniec dziesiątego dnia uznano za wskazane podwoić wyznaczoną pierwotnie sumę, kiedy zaś po upływie dwu tygodni niczego nie udało się wykryć i kiedy uprzedzenie, które istnieje zawsze w Paryżu względem policji, znalazło upust w kilku poważniejszych zajściach ulicznych, prefekt z własnego popędu postanowił ofiarować sumę dwudziestu tysięcy franków za „wskazanie zbrodniarza” lub, gdyby się okazało, że było ich więcej, za „wskazanie jednego ze zbrodniarzy”. W ogłoszeniu urzędowym zawiadamiającym o wyznaczeniu tej nagrody przyrzeczono ponadto zupełną bezkarność tym uczestnikom zbrodni, którzy by zechcieli wydać swych towarzyszy. Obok tych ogłoszeń porozlepiano wszędzie prywatne plakaty komitetu obywatelskiego, który do sumy wyznaczonej przez prefekturę dodawał od siebie dziesięć tysięcy franków. W całości wynosiła zatem nagroda aż trzydzieści tysięcy franków, co było sumą wprost niesłychaną, jeżeli się zważy, iż chodziło o dziewczynę z ludu, i jeżeli się uwzględni, że zabójstwa tego rodzaju nader często zdarzają się w wielkich miastach.

<sup>9</sup>*Monsieur Le Blanc* — Anderson. [przypis autorski]

<sup>10</sup>*gryzетка* (daw., z fr. *gris*: szary; *grissette*: tania, szara tkanina ubraniowa) — we Francji: młoda dziewczyna pracująca jako szwaczka, ekspedientka, modystka; nazwa od koloru odzieży noszonej z konieczności przez takie osoby. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*Sekwana* — Hudson. [przypis autorski]

<sup>12</sup>*Barrière du Roule* — Weehawken. [przypis autorski]

Nikt już nie wątpił, iż tajemnica tej zbrodni niezwłocznie wyjdzie na jaw. Jakoż uwięziono jedną czy dwie osoby, których zeznania miały rzekomo rozwidnić tę ciemną sprawę, lecz okazało się, że podejrzenia o współudział były niesłuszne, i natychmiast zarządono uwolnienie. Mogłoby się wydawać rzeczą dziwną, iż trzy tygodnie upłynęły już od znalezienia zwłok, nie rzucając światła na to zagadnienie, a jednak nawet najpobieżniejsza pogłoska o wypadku, który tak bardzo roznamiętniał umysły publiczności, nie dotarła do uszu Dupina i moich. Zajęci badaniami, które pochłaniały nas całkowicie, niemal od miesiąca nie wychodziliśmy z domu i nie przyjmowaliśmy gości, a w dziennikach przeglądaliśmy zaledwie naczelne artykuły polityczne. Pierwszą wiadomość o tej zbrodni przyniósł nam prefekt G. we własnej osobie. Zawitał do nas zaraz po południu 13 lipca 18... i pozostał do późnej nocy. Był do żywego dotknięty niepowodzeniem wszystkich swych wysiłków zmierzających do wytropienia zabójców. Jego reputacja — jak utrzymywał w tonie isticie paryskim — była narażona. Był zagrożony nawet jego honor. Zwrócone były na niego oczy publiczności i zaiste, nie było ofiary, na którą by się nie zdobył dla przeniknięcia tej tajemnicy. Swe nieco zabawne przemówienie zakończył komplemtem na cześć tego, co podobało się mu nazwać taktem Dupina i bez ogródek uczynił mu bezsprzecznie ponętną propozycję, o której szczegółowiej mówić mi nie wypada, tym bardziej że nie należy ona właściwie do zakresu mego opowiadania.

Za komplement wywzajemnił się mój przyjaciel nie mniejszą uprzejmością, wszelako propozycję przyjął bez wahania, aczkolwiek jej korzyści były tylko przejściowe. Doszedłszy do porozumienia, prefekt jął od razu roztaczać swe poglądy, przeplatając je rozwlekłymi komentarzami do materiału śledczego, którego jednakowoż jeszcze nam nie dostarczył. Mówił długo i bez wątpienia uczenie, pozwoliłem sobie atoli wtrącić uwagę o senności, jaka zwykła towarzyszyć spóznionej porze. Dupin, nie ruszając się ze swego fotelu, zdał się uosobieniem skupionej uwagi. Nie zdejmował okularów, odkąd zaczęła się rozmowa. Ukradkowe spojrzzenia, które rzucałem od czasu do czasu za ich zielone szkła, przekonały mnie w zupełności, iż jak na człowieka nawykłego do milczenia spał sobie najspokojniej przez siedem czy osiem godzin, które wlokły się jak po smole, zanim prefekt uznał za właściwe nas pożegnać.

Nazajutrz rano wydostałem w prefekturze cały materiał śledczy, zaś w redakcjach dzienników wszystkie numery zawierające ważniejsze wiadomości o tej przykrej sprawie. Po odrzuceniu naleciałości, na pewno niewiarygodnych, ogrom tych informacji dał się streścić, jak następuje:

Maria Rogêt wyszła z mieszkania swej matki przy rue Pavée-Saint-André około dziewiątej rano w niedzielę, dwudziestego drugiego czerwca 18... Wychodząc, powiedziała Monsieur Jacques'owi Saint-Eustache<sup>13</sup>, i tylko jemu jednemu, że wybiera się na cały dzień do ciotki, mieszkającej przy rue des Drômes. Rue des Drômes jest krótkim i wąskim, lecz ludnym zaułkiem, przebiegającym w pobliżu pobraża rzeki i oddalonym, w możliwie najkrótszej linii, o jakie dwie mile od pensjonatu Madame Rogêt. Saint-Eustache był po słowie<sup>14</sup> z Marią, mieszkał i jadał w pensjonacie. Umówili się, że przyjdzie po swą narzeczoną o zmierzchu i odprowadzi ją do domu. Wszelako po południu jęło łać jak z cebra; przypuszczając zatem, iż pozostanie na noc u swej ciotki (jak to nieraz czyniła przedtem w podobnych okolicznościach), nie uważał za potrzebne dotrzymać swej obietnicy. Gdy noc zapadła, Madame Rogêt (siedemdziesięcioletnia, zniedołężniała staruszka) wyraziła obawę, iż „już Marii więcej nie zobaczy”, ale na te słowa nikt podówczas nie zwrócił uwagi.

W poniedziałek przekonano się, iż dziewczyny przy rue des Drômes nie było, i dopiero kiedy cały dzień minął, a wieści o niej nie nadchodziły, zarządono spóznione poszukiwania w kilku punktach miasta i okolicy. Jednakże zaledwie na czwarty dzień po jej zniknięciu udało się zasięgnąć o niej pewniejszych wiadomości. Dnia tego (we środe, dwudziestego piątego czerwca) niejaki Monsieur Beauvais<sup>15</sup>, który wraz ze swym przyjacielem poszukiwał Marii w pobliżu Barrière du Roule, po drugiej stronie Sekwany, naprzeciw rue Pavée-Saint-André, dowiedział się, iż jakiś rybak dopiero co wyłowił trupa,

<sup>13</sup>Jacques Saint-Eustache — Payne. [przypis autorski]

<sup>14</sup>być z kimś po słowie (daw.) — być z kimś zaręczonym; być czymś narzeczonym a. narzeczoną. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Beauvais — Crommelin. [przypis autorski]

którego ponosił prąd rzeki. Ujrawszy zwłoki, Beauvais po niejakiemu namyśle rozpoznał w nich pannę z perfumerii. Jego przyjaciel doszedł do tego rozpoznania rychlej.

Twarz była umazana czarną krwią, która sączyła się po części z ust. Nie zauważono piany, którą widuje się u topielców. Tkanka komórkowa nie uległa odbarwieniu. Dokoła gardła widniały sińce i odciski palców. Ręce były sztywne i złożone na piersiach. Prawa dłoń była zaciśnięta, lewa częściowo otwarta. Powyżej przegubu lewej zaznaczały się dwa koliste otarcia, pochodzące widocznie od powrozów lub jednego powrozu okręconego kilka razy. Część prawej pięści wykazywała również mocne uszkodzenie naskórka, podobnie jak całe plecy, przede wszystkim zaś łopatki. Wyciągając trupa na brzeg, rybak obwiązał go powrozem, ale owe uszkodzenia nie pochodziły od tego powroza. Kark był silnie obrzękły. Skaleczeń lub sińców spowodowanych uderzeniami nie dostrzeżono. Natomiast znaleziono kawałek sznurka, tak mocno okręconego dokoła szyi, iż na razie nie było go widać. Wrzynał się on głęboko w ciało i był zawiązany na węzeł poniżej lewego ucha. Wystarczyło to jedno, by spowodować śmierć. Orzeczenie lekarskie stwierdziło nienaganne prowadzenie się zmarłej dziewczyny. Miano dopuścić się na niej zwierzęcego gwałtu. Zwłoki, gdy je znaleziono, były w takim stanie, iż znajomi poznali ją z łatwością.

Odzież była poszarpana i w zupełnym nieładzie. Z odzienia zwierzchniego wydarto od samego dołu aż do pasa strzęp szerokości jednej stopy<sup>16</sup>, ale go nie oderwano. Był on okręcony trzy razy dokoła kibici i zadziergnięty na krzyżu jak gdyby w pętlę. Bezpośrednio pod suknią zmarła miała na sobie spódniczkę z cienkiego muszlinu. Wydarto z niej również, lecz już całkowicie, strzęp na osiemnaście cali szeroki; wydarcia dokonano bardzo równo i nadzwyczaj starannie. Strzęp ten wisiał luźno dokoła jej szyi i był zawiązany na mocny węzeł. Ów strzęp muszlinu i kawałek sznurka kryły się pod wstążką, na której zwisał kapelusz. Końce wstążki były zawiązane na węzeł, jakim nie posługują się kobiety; znać po nim było rękę marynarza.

Po rozpoznaniu zwłok nie odesłano ich do kostnicy (gdyż ta formalność była zbyt techniczna), lecz pogrzebano je pośpiesznie opodal wybrzeża, gdzie je znaleziono. Dzięki zabiegom Beauvais'go dokładano w miarę możliwości starań, by sprawa nie nabrała rozgłosu i dopiero po kilku dniach powstało zaniepokojenie wśród publiczności. W końcu zajął się nią pewien tygodnik<sup>17</sup>. Dokonano ekshumacji zwłok i zarządzono ponowne dochodzenie, nie osiągnięto jednak żadnych innych wyników prócz tych, które były już znane. Uznano jednak za potrzebne pokazać odzież matce i znajomym zmarłej i okazało się, że była ta sama, w której dziewczyna wyszła z domu.

Tymczasem rozdrażnienie wzmagало się z godziny na godzinę. Kilka osób uwięziono i wypuszczono znów na wolność. Zwłaszcza Saint-Eustache wydawał się mocno podejrzany; zrazu nie umiał zdać szczegółowo sprawy z tego, co porabiał tej niedzieli, kiedy Maria wyszła z domu. Wszelako później przedłożył prefektowi G. najszczególowsze i poparte dowodami *affidavity*<sup>18</sup> ze wszystkich godzin owego dnia. W miarę, jak czas mijał, a śledztwo nie postępowało, jęło krążyć tysiące najsprzecznieszych pogłosek, a dziennikarze wysilali się na sugestie. Wśród nich jedna zwróciła powszechną uwagę; ktoś utrzymywał, iż Maria Rogêt żyje, a z Sekwany wyłowiono zwłoki jakiejś innej nieszczęśliwej. Nie od rzeczy może będzie przytoczyć kilka ustępów nadmienających o tym przypuszczeniu. Przełożono je dosłownie z „L'Etoile”<sup>19</sup>, dziennika redagowanego na ogół nader umiejętnie.

„Mademoiselle Rogêt wyszła z mieszkania swej matki w niedzielę rano, dwudziestego drugiego czerwca 18... Jak się wyraziła, miała zamiar odwiedzić swą ciotkę lub innych krewnych, mieszkających przy rue des Drômes. Od tej chwili podobno nikt jej nie widział. Wszelki ślad po niej zaginął... Nikt się nie zgłosił, kto by poświadczył, iż zdarzyło się mu widzieć ją tego dnia, kiedy przestąpiła próg mieszkania swej rodzicielki... Nie mamy wprawdzie dowodu, że w niedzielę, dnia dwudziestego drugiego czerwca, po godzinie dziewiątej rano Maria Rogêt znajdowała się wśród żywych, lecz wiemy na pewno, że do tej godziny jeszcze żyła. We środę około południa dostrzeżono ciało kobiece, unoszone

<sup>16</sup>stopa — dawna miara długości, równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>zajął się nią pewien tygodnik — „The New York Mercury”. [przypis autorski]

<sup>18</sup>affidavit — pisemne oświadczenie lub oświadczenie złożone pod przysięgą, przedstawiane jako dowód w sprawie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>„L'Etoile” — nowojorski „Brother Jonathan”, redagowany przez Mr. Hastingsa Welda. [przypis autorski]

przez fale koło wybrzeża Barrière du Roule. Otóż gdybyśmy nawet przypuścili, że Marię Rogêt wrzucono do rzeki w trzy godziny po wyjściu jej z domu, to od tej chwili upłynęłoby zaledwie trzy dni — ani godziny więcej! Atoli byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo — jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa — mogło odbyć się tak pośpiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą. Kto obarcza swe sumienie taką potworną zbrodnią, ten woli mroki nocne niż światło dzienne... Z tego widzimy, że jeżeli zwłoki znalezione w rzece były istotnie ciałem Marii Rogêt, to przebywały w wodzie dwa i pół dnia lub co najwyżej trzy dni. Doświadczenie poucza, iż trupy topielców lub zwłoki osób wrzuconych do wody bezpośrednio po gwałtownej śmierci dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają rozkładowi do tego stopnia, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu. Zapytujemy tedy, co w tym wypadku mogło wywołać odstępstwo od naturalnego porządku rzeczy?... Gdyby te pokaleczone zwłoki przebywały na brzegu do wtorku wieczorem, to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców. Jest także rzeczą nader wątpliwą, żeby trup mógł tak rychło wypłynąć na powierzchnię, nawet jeżeli się przypuści, iż wrzucono go do wody w dwa dni po śmierci. Ponadto wydaje się najzupełniej nieprawdopodobne, żeby zbrodni, którzy rzekomo dopuścili się tej zbrodni, mogli wrzucić ciało do wody, nie obciążwszy go przedtem celem zatopienia, skoro ta przezorność była tak łatwa do wykonania”.

Autor artykułu usiłuje dowieść dalej, iż zwłoki musiały przebywać w wodzie „nie trzy dni, ale co najmniej pięć razy po trzy dni”, ponieważ rozkład ich był posunięty tak daleko, iż Beauvais z niemałą trudnością zdołał je rozpoznać. Szczegół ostatni był jednakże najzupełniej niezgodny z prawdą. Przytaczam dalszy ciąg wywodów:

„Na czym tedy opiera Monsieur Beauvais swe oświadczenie, iż owe zwłoki są niewątpliwie trupem Marii Rogêt? Odwinął rękaw u sukni i znalazł — jak utrzymuje — znamiona, które miały dowieść mu tożsamości. Publiczność przypuszczała powszechnie, iż owymi znamionami były jakieś blizny. Przesunął rękę po ramieniu i znalazł na nim włosy — coś tak, naszym zdaniem, nieokreślonego, jak tylko można sobie wyobrazić — coś równie mało znaczącego, jak znalezienie rękawa u sukni. Monsieur Beauvais nie powrócił na noc do domu, lecz o godzinie siódmej we środę wieczorem posłał do Madame Rogêt zawiadomienie, iż śledztwo dotyczące jej córki jest jeszcze w toku. Jeżeli nawet przyjmiemy, że Madame Rogêt, przyciśnięta wiekiem i bólem, nie mogła udać się na miejsce wypadku (a dalej w swych przypuszczeniach pójść nie możemy!), to na pewno byłby się znalazł ktoś, kto uważałby, iż warto pójść tam i być obecnym przy śledztwie, gdyby nasuwała się myśl, że owe zwłoki mogą być ciałem Marii. Ale nikt nie przyszedł. W mieszkaniu przy rue Pavée-Saint-André ani nie mówiono o tej sprawie, ani nawet nie słyszano o pogłoskach, które krążyły wśród mieszkańców tego samego domu. Monsieur Saint-Eustache, wielbiciel i narzeczony Marii, który mieszkał w pensjonacie jej matki, zeznaje, iż o znalezieniu zwłok swej narzeczonej dowiedział się dopiero nazajutrz rano, kiedy Monsieur Beauvais wpadł do jego pokoju i opowiedział mu o tym zdarzeniu. Zastanawia nas niezmiernie, iż tak ważna wiadomość spotkała się z tak chłodnym przyjęciem”.

Dziennik usiłuje wywołać w ten sposób wrażenie, jakoby rodzina i znajomi Marii zachowywali się apatycznie, co oczywiście nie godziłoby się z przypuszczeniem, jakoby wierzyli, iż zwłoki te są istotnie zwłokami Marii. Wygląda to, jakby chciano wmówić, iż Maria w porozumieniu ze swymi najbliższymi znikła z miasta z powodów uwłaczających jej czi dziewczęcej i że ci najbliżsi, kiedy w Sekwanie znaleziono zwłoki nieco podobne do niej, korzystając z tej okoliczności, starali się rozpowszechnić wśród publiczności przeświadczenie o jej zgonie. Wszelako „L'Etoile” przebrała z pośpiechu miarę. Okazało się niezawodnie, iż rzekoma apatia nie istniała; mianowicie staruszka była zbyt osłabiona i popadła w taki rozstrój, iż nie była zdolna do niczego, zaś Saint-Eustache nie tylko że nie przyjął owej wiadomości obojętnie, lecz wprost szalał z bólu i zachowywał się do tego stopnia nieporozumiale, że Monsieur Beauvais poprosił jednego ze swych krewnych, z którym żył w przyjaźni, by czuwał nad nim i nie pozwolił mu być obecnym przy sekcji zwłok po ich ekshumacji. Aczkolwiek „L'Etoile” utrzymywała ponadto, jakoby powtórne pochowanie zwłok odbyło się na koszt publiczny — jakoby czynnej propozycji pogrze-

bania zmarłej prywatnie rodzina bezwarunkowo przyjąć nie chciała i jakoby nikt z rodziny nie był obecny na obchodzie żałobnym; jakkolwiek — powtarzam — „L’Etoile” podawała te wiadomości jako zupełnie pewne, by w ten sposób wzmocnić jeszcze wrażenie, które zamierzała wywołać, to jednak okazały się one nieprawdziwe. W dalszych numerach tegoż samego dziennika jęto podawać w podejrzenie nawet Beauvais’go. Publicysta pisze:

„W sprawie tej zaszła obecnie zmiana. Słyszeliśmy, iż pewnego razu, kiedy u Madame Rogêt znajdowała się Madame B., Monsieur Beauvais, który zabierał się do wyjścia, powiedział jej, że lada chwila nadejdzie żandarm i żeby ona, Madame B., nic żandarmowi nie mówiła, aż on powróci, i pozostawiła wszystko jemu... Przy obecnym stanie rzeczy Monsieur Beauvais zasklepił — jak się zdaje — całą tę sprawę w swym mózgu. Niepodobna zrobić kroku bez Monsieur Beauvais’go; gdziekolwiek się obrócić, wszędzie się go spotyka... Nie wiadomo czemu postanowił, iż nikt nie ma brać udziału w śledztwie prócz niego samego, zaś krewnych — jak sami utrzymują — w nader osobliwy sposób odsunął na bok. Podobno czynił wszystkie wysiłki, by rodziny nie dopuszczono do obejrzenia zwłok”.

Podejrzenia rzucane na Beauvais’go nabrały barw nieco żywszych skutkiem następującego wypadku: na kilka dni przed zniknięciem dziewczyny ktoś zaszedł do jego biura i nie zastawszy go tamże, zauważył w dziurce od klucza różę, zaś na podręcznej tabliczce wypisane słowo „Maria”.

Powszechne przeświadczenie, o ile zdołaliśmy wyłowić je z dzienników, zdawało się streszczać w tym, iż Maria padła ofiarą szajki zdesperowanych rzezimieszków, którzy przewieźli ją przez rzekę, zbezczeszcili i zabili. Wszelako „Le Commercial”<sup>20</sup>, dziennik nader wpływowy, zwalczał ten rozpowszechniony pogląd. Przytoczę jeden czy dwa ustępy z jego artykułów:

„Jesteśmy przekonani, iż pościg podążał dotychczas mylnym tropem, gdyż zwracał się w stronę Barrière du Roule. Jest rzeczą niemożliwą, by osoba tak dobrze znana tysiącom ludzi, jak ta młoda kobieta, mogła minąć trzy domy i nie być widzianą przez nikogo; gdyby zaś ktokolwiek był ją zobaczył, to pamiętałby o tym na pewno, gdyż budziła zainteresowanie wśród wszystkich swych znajomych. Ulice roily się od ludzi, kiedy wyszła z domu... Niepodobna, żeby idąc w stronę Barrière du Roule lub na rue des Drômes, nie była poznana przez jakiś tuzin osób, a jednak nie zgłosił się nikt, kto by ją widział poza obrębem rodzicielskiego mieszkania, i prócz jedyne go świadectwa, które stwierdza, iż mówiła o swym zamiarze, nie ma nawet pewności, czy w ogóle wyszła z domu. Kawałek sukni jej oddarto, okręcono dokoła jej kibici i zawiązano w ten sposób, iż trupa było można nieść jak pakunek. Gdyby zabójstwa dokonano koło Barrière du Roule, to takie przygotowania byłyby niepotrzebne. Ta okoliczność, iż zwłoki znaleziono koło Barrière, nie wyjaśnia bynajmniej, gdzie je wrzucono do wody... Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny, długi na dwie stopy i szeroki na jedną, oddarto, okręcono dokoła jej szyi i zawiązano na karku, prawdopodobnie w tym celu, by stłumić jej krzyki. Uczynili to zbrojnicy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa”.

Wszelako na dzień czy dwa przed pojawieniem się u nas prefekta policji udało się zasięgnąć nader ważnej wiadomości, która zdawała się obalać najważniejszą część argumentacji „Le Commercial”. Dwaj malcy, synowie niejakej Madame Deluc, wałęsając się po zaroślach w pobliżu Barrière du Roule, zabłąkali się przypadkiem w gęstwinę, gdzie leżały trzy czy cztery duże kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Na górnym kamieniu leżała biała spódniczka; na innym jedwabna szarfa. Znaleziono tam również parasolkę, rękawiczki i chustkę do nosa. Chustka była oznaczona napisem „Maria Rogêt”. Na pobliskich krzakach cierniowych odkryto strzępy ubrania. Ziemia była zdeptana, krzewy połamane, słowem, znać było wyraźne ślady walki. Między gęstwiną a rzeką parkan był powalony, a na ziemi widniał ślad jak gdyby od jakiegoś wielkiego ciężaru, który wleczono tamtędy.

Tygodnik „Le Soleil”<sup>21</sup> dodał do opisu tego odkrycia następujący komentarz, który był jakby echem poglądów całej prasy paryskiej:

<sup>20</sup>„Le Commercial” — nowojorski „Journal of Commerce”. [przypis autorski]

<sup>21</sup>„Le Soleil” — filadelfijski „Saturday Evening Post”. [przypis autorski]



„Rzeczy te leżały tam widocznie co najmniej ze trzy lub cztery tygodnie; wszystkie zbutwiały od deszczu i pozlepiały się pleśnią. Dokoła wybujała trawa i po części je zakryła. Jedwab na parasolce był mocny, ale szwy puściły. Część górna pokrycia w tym miejscu, gdzie tkanina miała podkładkę i była sfaldowana, zbutwiała i przegniła do tego stopnia, iż rozdarła się, kiedy parasolkę otworzono... Strzępy odzieży, zwieszające się z krzewów, miały około trzech cali szerokości i sześciu cali długości. Jeden z nich był kawałkiem rąbka od sukni i wykazywał ślady napraw; drugi był zakładką, nie rąbkiem. Wyglądały jak oddarte i wisiały na cierniach na jakąś stopę od ziemi... Nie ulega wątpliwości, iż powiodło się odkryć widownię tej ohydnej zbrodni”.

Bezpośrednio po tym odkryciu pojawił się nowy świadek. Madame Deluc zeznała, iż jest właścicielką przydrożnej gospody położonej niedaleko brzegu rzeki, naprzeciw Barrière du Roule. Okolica jest odludna, bardzo odludna. W niedziele zwykły bywać tam wyrzutki miejskie, które przeprawiają się przez rzekę łodziami. Około trzeciej po południu pamiętnej niedzieli przybyła do gospody młoda dziewczyna w towarzystwie młodzieńca o smągłej cerze. Para ta zatrzymała się tam czas jakiś. Odchodząc, poszli drogą wiodącą w głąb pobliskich gąszczy. Madame Deluc zwróciła uwagę na suknię dziewczyny, gdyż była podobna do stroju jej zmarłej kuzynki. Zwłaszcza zapamiętała dokładnie szarfę. Wnet po odejściu tej pary pojawiła się szajka opryszków, którzy zachowywali się hałaśliwie, nie zapłacili za potrawy i napoje, poszli tą samą drogą, co młodzieniec i dziewczyna, powrócili do gospody, kiedy miało się ku zmierzchowi, i przeprawili się z powrotem przez rzekę jak gdyby z wielkim pośpiechem.

Wnet po nastaniu ciemności tego samego wieczora Madame Deluc oraz jej najstarszy syn usłyszeli krzyki kobiece w pobliżu gospody. Krzyki te były przeraźliwe, lecz trwały krótko. Madame Deluc rozpoznała nie tylko szarfę znaną w gęstwinie, lecz także suknię, w której wyłowiono zwłoki.

Konduktor omnibusu<sup>22</sup>, Valence<sup>23</sup>, zeznał również, iż widział owej niedzieli Marię Rogêt, jak w towarzystwie młodzieńca o smągłej cerze przepływała Sekwanę promem. Ów Valence znał Marię i nie mógł pomylić się co do jej osoby. Przedmioty znalezione w gęstwinie rozpoznała z łatwością rodzina Marii.

Całe to mnóstwo zeznań i wiadomości, zebranych przeze mnie z dzienników na życzenie Dupina, uzupełniało się jeszcze jednym szczegółem — wszelako był to szczegół ogromnie ważny. Oto wnet po odkryciu odzieży w sposób poprzednio opisany znaleziono w pobliżu domniemanego miejsca zbrodni nieżywe, lub raczej bliskie zgonu ciało Saint-Eustache’a, narzeczonego Marii. Obok niego leżała próżna fiaszeczka z napisem „*laudanum*”<sup>24</sup>. Z oddechu można było wnioskować, że zażył truciznę. Umarł w milczeniu. Miał przy sobie list, w którym wyznawał pokrótce swą miłość do Marii i swe zamiary samobójcze.

— Nie potrzebuję ci mówić — rzekł Dupin, skończywszy przegląd mych notatek — iż jest to wypadek nierównie bardziej zawiły niż zabójstwo przy rue Morgue, od którego różni się pod jednym nader ważnym względem. Chodzi tu mianowicie o zabójstwo okrutne, lecz zwyczajne. Nie ma w nim niczego, co by było *outré*<sup>25</sup>. Jak widzisz, z tego względu tajemnica ta wydawała się rzeczą łatwą, tymczasem właśnie z tego względu powinna uchodzić za niezmiernie trudną do rozwiązania. Dlatego to na razie nie uważano za potrzebne wyznaczyć nagrody. Podwładni prefekta G. zdołali zrozumieć od razu, w jaki sposób i dlaczego ktoś mógł się dopuścić takiego okrucieństwa. Zwidywał się im w wyobraźni sposób — wiele sposobów, i motyw — wiele motywów; a ponieważ nie było rzeczą niemożliwą, żeby jeden z tych mnogich sposobów i motywów nie mógł być właśnie tym jedynym, przeto uważali za rzecz dowiedzioną, że jeden z nich być nim musi. Tymczasem łatwość, z jaką snuto te różne domysły, oraz pozory słuszności, jaką każdy z nich posiadał, winny były ostrzegać, iż rozwiązanie zagadki będzie raczej trudne

<sup>22</sup>*omnibus* (łac. dosł.: dla wszystkich) — duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, pod koniec XIX w. powszechny jako środek regularnej komunikacji w dużych miastach Europy; poprzednik autobusów. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*Valence* — Adam. [przypis autorski]

<sup>24</sup>*laudanum* — nalewka z opium, w XVIII–XIX w. używana w niewielkich dawkach jako specyfik na różne dolegliwości. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*outré* (fr.) — przesadne. [przypis edytorski]

niż łatwe. Zauważyłem już innym razem, iż rozum w poszukiwaniu prawdy winien torować sobie drogę tylko szczytami, które wznoszą się ponad poziom zwyczajności, i że w podobnych wypadkach nie tyle właściwe jest pytanie: co się stało?, ile pytanie: co się stało takiego, czego przedtem nigdy jeszcze nie było? Podczas śledztwa w domu Madame L'Esplanaye<sup>26</sup>, agenci prefekta G. byli zakłopotani i zniechęceni niezwykłością wypadku, która dla prawidłowego intelektu była właśnie najniezawodniejszą zapowiedzią powodzenia; natomiast tenże sam intelekt mogłaby przeprowadzić o rozpacz zwyczajność tego wszystkiego, co objawia się w zdarzeniu z dziewczyną z perfumerii i z czego dotychczas nie wynikło nic prócz płonnych tryumfów urzędników prefektury.

Kiedy chodziło o Madame L'Esplanaye i jej córkę, to już od samego początku śledztwa nie ulegało wątpliwości, iż popełniono zabójstwo. Od razu dało się wykluczyć przypuszczenie samobójstwa. W obecnym wypadku możemy być również pewni, iż zmarła nie targnęła się na swe życie. Znalaziono jej zwłoki przy Barrière du Roule w takich okolicznościach, iż nie potrzebujemy łamać sobie głowy nad tym ważnym szczegółem. Wszelako poddawano myśl, że trup ten nie jest zwłokami Marii Rogêt. Za wykrycie jej zabójcy, czy zabójców, wyznaczono nagrodę i ona to stanowi jedyną podstawę naszej umowy z prefektem. Dobrze znamy obaj tego pana. Nie należy na nim zbyt po polegać. Jeżeli zaczniemy nasze śledztwo od znalezionej zwłoki i tropiąc następnie zbrodniarza, odkryjemy, że są to zwłoki innej osoby, a nie Marii, lub jeżeli przyjmujemy, że Maria żyje, i znajdziemy ją istotnie żywą — to w obu wypadkach praca nasza pójdzie na marne, gdyż trzeba pamiętać, z jakim to panem mamy do czynienia. W imię więc własnego dobra, jeśli już nie w imię sprawiedliwości, jest rzeczą niezbędną, byśmy zaczęli od stwierdzenia, iż owe zwłoki są zwłokami zaginionej Marii Rogêt.

Wśród publiczności wywody zamieszczone w „L'Etoile” nie przeszły bez wrażenia. Że redakcja tego dziennika sama jest przeświadczona o ich ważności, widać to z tonu, w jakim rozpoczyna jeden ze swych artykułów, omawiających tę sprawę: „Kilka dzienników porannych — brzmi ten początek — wspomina o rozstrzygającym sprawę artykule, który pojawił się w naszym numerze poniedziałkowym”. Dla mnie artykuł ten rozstrzyga zaledwie o pochopności do oskarżeń. Nie zapominajmy, iż na ogół dążeniem dzienników naszych jest raczej pościg za sensacją, lechtanie ciekawości niż sprzyjanie prawdzie. To ostatnie ma się na uwadze tylko wówczas, gdy daje się pogodzić z pierwszym. Piśmo, które pozostaje w zgodzie z utartym poglądem (choćby najlepiej uzasadnionym), nie znajduje uznania wśród tłumu. W pojmowaniu gawiedzi głębokość polega tylko na jaskrawym przeciwieństwie do powszechnego zdania. W dziedzinie rozumowania, podobnie zresztą jak w literaturze, najbezpośredniejsze i najpowszechniejsze powodzenie miewa epigram<sup>27</sup>. Tymczasem zarówno w jednej, jak w drugiej zajmuje on miejsce najpośledniejsze.

Chciałbym przez to powiedzieć, iż pomysł, jakoby Maria Rogêt jeszcze żyła, przemówił do przekonania redakcji „L'Etoile” i spotkał się z przychylnym przyjęciem u publiczności raczej dlatego, iż jest mieszaniną epigramu i melodramatu, niż dla swej rzeczywistej słuszności. Przyjrzyjmy się wytycznym rozumowaniom tego dziennika i miejmy się na baczności przed bezładem, który w nich zasadniczo się przejawia.

Pierwszym zamierzeniem publicysty jest wywnioskować z krótkości czasu między zniknięciem Marii a znalezieniem pływającego trupa, iż nie może być on zwłokami Marii. Przedmiotem jego rozumowania staje się przede wszystkim sprowadzenie tego przedziału do możliwie najniklejszych rozmiarów. W ręczym pościgu za tym przedmiotem zaprzepaszcza się na ślepo w czczych domysłach. „Byłoby niedorzecznością mniemać — powiada — aby zabójstwo, jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa, mogło odbyć się tak pośpiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą”. Zapytujemy od razu i najzupełniej po prostu: dlaczego? Dlaczego niedorzecznością byłoby przypuszczać, iż zabójstwa dokonano w pięć minut po wyjściu dziewczyny z domu? Dlaczego niedorzecznością byłoby przypuszczać, że zabójstwa dokonano o każdej dowolnej porze dnia? Zdarzały się zabójstwa w różnych porach. Skoro jednak zabójstwo nastąpiło w jakiejś chwili między dziewiątą w niedzielę rano a kwadrans przed północą, to zawsze znalazło się

<sup>26</sup>Podczas śledztwa w domu Madame L'Esplanaye... — patrz *Zabójstwo przy rue Morgue*. [przypis autorski]

<sup>27</sup>epigram (lit.) — krótki, przeważnie dwuwierszowy utwór poetycki z dobitną puentą; gatunek pochodzący z poezji staroż. [przypis edytorski]

dość czasu, by „wrzucić zwłoki do rzeki przed północą”. Ten domysł zmierza zatem prostą drogą do wniosku, że zabójstwa w niedzielę w ogóle nie dokonano; jeżeli zaś zgodzimy się na ten wniosek redakcji „L’Etoile”, to moglibyśmy zgodzić się również na wszystkie inne. Można by sobie wyobrazić, iż ustęp zaczynający się od słów: „Byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo” itd., acz ogłoszony drukiem w tej formie, przedstawiał się rzeczywiście w mózgu swego autora, jak następuje: „Byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo, jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa, mogło odbyć się tak pośpiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą. Byłoby niedorzecznością — powtarzamy — mniemać coś podobnego, a równocześnie przypuszczać (jak postanowiliśmy), iż zwłok nie wrzucono wcześniej, niż dopiero po północy”. — Zdanie na ogół niezbyt logicznie zbudowane, lecz mimo to nie wyszane tak bardzo z palca, jak to, które pojawiło się w druku.

Gdyby mym zamierzeniem — mówił dalej Dupin — było tylko wykazanie nicości tego ustępu w rozumowaniach publicysty z „L’Etoile”, to na pewno pozostawiłbym go w spokoju. Wszelako nie chodzi nam o „L’Etoile”, lecz o prawdę. Rzeczony zdanie w swym brzmieniu ma tylko jedno znaczenie, które ustaliłem dokładnie; jest atoli rzeczą istotną, byśmy pod pokrywką słów poszukali myśli, którą te słowa usiłowały nam podsunąć, acz bez powodzenia. Publicysta pragnął powiedzieć, iż bez względu na to, o jakiej porze dnia lub nocy owej niedzieli zabójstwa tego dokonano, było jednakże niepodobieństwem, żeby zabójcy odważyli się zanieść trupa do rzeki przed północą. I na tym właśnie polega domysł, nad którym ubolewam. Przypuszcza się mianowicie, jakoby zabójstwo popełniono w takim miejscu i w takich okolicznościach, iż trzeba było zanieść zwłoki do rzeki. Otóż zabójstwo mogło nastąpić albo na brzegu rzeki, lub też wprost na rzece; wrzucenie zatem trupa do wody mogło odbyć się o każdej porze dnia czy nocy, jako przejaw najprostszej i najbezpośredniejszej czynności. Pojmujesz zapewne, iż nie staram się poddać niczego, co by było w mym przekonaniu prawdopodobniejsze lub zgodniejsze z moimi poglądami. Dotychczasowe moje zamierzenia nie dotyczą wcale faktów tej sprawy. Pragnę tylko, byś miał się na baczności przed tonem, który sugestywnie rozbrzmiewa z „L’Etoile”, i zwrócił uwagę na charakterystyczny *parti pris*<sup>28</sup>, objawiający się od samego początku.

Określiwszy tedy granice, przystosowane do swych z góry powziętych poglądów; przypuściwszy następnie, iż jeżeli istotnie były to zwłoki Marii, to mogły pozostawać w wodzie tylko bardzo krótko — dziennik pisze dalej:

„Doświadczenie poucza, iż trupy topielców lub osób wrzuconych do wody bezpośrednio po gwałtownej śmierci, dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają rozkładowi do tego stopnia, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu”.

Zapewnienia te przyjęły w milczeniu wszystkie dzienniki paryskie prócz „Le Moniteur”<sup>29</sup>. Pismo to zwalcza tylko tę część ustępu, która odnosi się do „topielców”, przytaczając pięć czy sześć przykładów dowodzących, iż zwłoki osób, o których wiadano na pewno, że utonęły, wypływały na powierzchnię w krótszym czasie, aniżeli podaje „L’Etoile”. Atoli jest coś krańcowo niefilozoficznego w dążności „Le Moniteur”, który zasadnicze twierdzenia redakcji „L’Etoile” chce zwalczać konkretnymi przykładami. Gdyby nawet udało się przytoczyć piętnaście przykładów, a nie pięć, zwłok, które wypłynęły na powierzchnię wody pod koniec drugiego czy trzeciego dnia, to te piętnaście przykładów należałoby właściwie uważać tylko za wyjątki z reguły wygłoszonej przez „L’Etoile”, aż do chwili, kiedy samą regułę powiodłoby się obalić. O ile przyjmie się tę regułę (a „Le Moniteur” jej nie przeczy, upierając się tylko przy wyjątkach), to argument redakcji „L’Etoile” nie postrada nic ze swej mocy, gdyż argument ten ma na celu tylko jedno zagadnienie, mianowicie zagadnienie, czy zwłoki mogą wypłynąć na powierzchnię w czasie nieprzekraczającym trzech dni; zaś możliwość ta wychodzi na korzyść poglądów redakcji „L’Etoile”, ile że przykłady, które przytoczono w tak dziecinny sposób, są dość liczne, by ustalić regułę wręcz przeciwną.

<sup>28</sup>*parti pris* (fr.) — z góry przyjęty osąd, założenie. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>„Le Moniteur” — „The New York Commercial Advertiser”. [przypis autorski]

Pojmiesz zapewne od razu, iż wszelka argumentacja tego rodzaju winna się zwracać przeciwko samej regule, zaś w tym celu należy dokonać analizy rozumowej tej reguły. Otóż ciało ludzkie nie jest na ogół ani lżejsze, ani cięższe niż woda w Sekwanie, to znaczy, iż ciężar gatunkowy ciała ludzkiego w normalnych warunkach równa się mniej więcej ciężarowi słodkiej wody przez nie wypartej. Ciała osób otyłych i mięsistych, o drobnych kościach, przede wszystkim zaś kobiet, są lżejsze niż ciała osób szczupłych i grubokościstych, szczególnie mężczyzn; zaś ciężar gatunkowy wody rzecznej podlega niejakiemu wahaniom, o ile daje się w niej odczuwać przyływ od morza. Pomijając jednakże sprawę przyływu, można powiedzieć, iż bardzo niewiele ciał ludzkich idzie na dno, nawet w wodach słodkich, z powodu swych przyrodzonych właściwości. Wszyscy ludzie, którym zdarzy się wpaść do rzeki, mogliby utrzymywać się na powierzchni, gdyby starali się wyrównać ciężar gatunkowy wody z ciężarem gatunkowym własnym — to znaczy, gdyby dokładali starań, żeby, o ile to możliwe, niemal całe ciało było pod wodą. Właściwą pozycją dla człowieka nieumiejącego pływać jest wyprostowana postawa ludzi stąpających po suchym lądzie, przy czym głowa winna być odrzucona wstecz i tak zanurzona, by tylko usta i nozdrza znajdowały się ponad powierzchnią. Po przystosowaniu się do tych warunków możemy pływać bez trudności i bez wysiłku. Rozumie się samo przez się, iż ciężar ciała i objętość wypartej wody znajdują się podówczas w stanie doskonałej równowagi i dość jest drobnostki, by przeważało ciało lub woda. Wystarczy, na przykład, wynurzyć ramię z wody i pozbawić go w ten sposób oparcia, żeby ten dodatkowy ciężar spowodował zanurzenie całej głowy; odwrotnie, pomoc przypadkowo spotkanego najmniejszego kawałka drewna pozwala mu wynurzyć głowę z wody i rozejrzeć się dokoła. Otóż ludzie, nieobeznani z pływaniem, kiedy pasują się z wodą, wyrzucają zawsze ramiona w górę i równocześnie starają się utrzymać głowę w zwykłej pozycji pionowej. Skutkiem tego ulegają zanurzeniu usta i nozdrza, zaś odruchy, by odetchnąć pod powierzchnią, wprowadzają wodę do płuc. Wiele jej wnika również do żołądka i całe ciało staje się cięższe z powodu różnicy, jaka zachodzi między ciężarem powietrza, które pierwotnie napełniało te narządy, a ciężarem napełniającej je teraz wody. Różnica ta wystarcza w zasadzie, by ciało poszło na dno; wszelako nie jest ona dostateczna, gdy chodzi o osoby z drobnymi kośćmi lub też wyróżniające się nadmierną obfitością pulchnych i tłustych tkanek. Takie osoby pływają nawet po utopieniu.

Trup znajdujący się przypuszczalnie na dnie rzeki pozostaje tam aż do chwili, kiedy dla tych lub owych powodów jego ciężar gatunkowy stanie się mniejszy od objętości wypartej przez niego wody. Może to nastąpić skutkiem rozkładu lub innych przyczyn. Rozkład powoduje wywiązanie się gazów, które rozpulchniają tkanki, wypełniają jamy wnętrza i są przyczyną potwornego dla naszych oczu obrzęku. Gdy to rozdęcie takie poczyni postępy, iż objętość zwłok znacznie się powiększy, wszelako bez równoczesnego przyrostu miąższości, czyli wagi, to ich ciężar gatunkowy staje się mniejszy od ciężaru wypartej wody i natychmiast pojawiają się na powierzchni. Atoli w rozkładzie wywołują zmiany nieprzeliczone okoliczności — przyspiesza się on lub opóźnia pod wpływem przemnogich czynników. Zależy to, na przykład, od ciepłoty pory roku; od tego, czy woda jest czysta czy też nasycona składnikami mineralnymi; czy jest głęboka czy płytka; czy jest bieżąca czy stojąca; od właściwości przyrodzonych ciała, wreszcie od tego, czy było przed zgonem zdrowe, czy też dotknięte zakażeniem. Z tego widać, iż niepodobna jest dokładnie określić czasu, kiedy zwłoki wypłyną na powierzchnię pod wpływem rozkładu. W pewnych razach może to nastąpić już po godzinie, w innych może nie nastąpić wcale. Istnieją rozczyny chemiczne, za pomocą których można na zawsze uchronić organizm przed rozkładem; należy do nich dwuchloran rtęci<sup>30</sup>. Wszelako niezależnie od rozkładu gaz w żołądku może się wytwarzać i wytwarza się nader często skutkiem fermentacji kwaśnej składników roślinnych (w innych zaś jamach wskutek innych przyczyn); jest on wystarczający, by wywołać rozdęcie, które wynosi zwłoki na powierzchnię wody. Następstwa spowodowane wystrzałem działowym są po prostu przejawem wstrząsu. Może on uwolnić zwłoki, które ugrzęzły w pokładzie sypkiego osadu czy namułu, i ułatwić im wydobyć się na powierzchnię, o ile inne czynniki już je do tego przygotowały; albo też

<sup>30</sup>*dwuchloran rtęci* (daw. chem.) — dziś: chlorek rtęci (II), HgCl<sub>2</sub>, silnie trująca sól kwasu solnego i rtęci na II stopniu utlenienia. [przypis edytorski]

rozluźnić spistość jakiejś przegniłej tkanki i przyczynić się w ten sposób do rozděcia jam wewnętrznych pod ciśnieniem gazu.

Posiadłszy tedy całkowitą filozofię tego przedmiotu, możemy z łatwością sprawdzić twierdzenia publicystów z „L’Etoile”. „Doświadczenie poucza — powiada jeden z nich — iż trupy topielców lub zwłoki osób wrzuconych do wody bezpośrednio po gwałtownej śmierci dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają rozkładowi do tego stopnia, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu”.

Cały ten ustęp przedstawia się nam obecnie jako gmatwanina bezładu i niekonsekwencji. Doświadczenie wcale nas nie poucza, jakoby „trupy topielców” dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegały rozkładowi do tego stopnia, iżby mogły wypłynąć na powierzchnię. Zarówno nauka, jak doświadczenie wykazują, iż czas, w jakim one pojawiają się na powierzchni, jest i z konieczności musi być nieokreślony. Ponadto jeśli zwłoki wypłyną na wierzch skutkiem wystrzału działowego, to nie „pójdą znów na dno, jeśli pozostawi się je sobie samym”, o ile rozkład nie postąpił tak daleko, iż ujście nagromadzonych gazów jest możliwe. Wszelako pragnąłbym zwrócić twą uwagę na rozróżnienie, jakie uczyniono między „trupami topielców” a „zwłokami osób wrzuconych do wody bezpośrednio po gwałtownej śmierci”. Aczkolwiek autor uwzględnił tę różnicę, to jednak zalicza jedne i drugie do tej samej kategorii. Wykazałem, w jaki sposób ciało tonącego człowieka staje się gatunkowo cięższe od ciężaru wody; wykazałem również, że nie zagłębiałoby się ono wcale w wodę, gdyby nie szamotania, przy których ramiona wynurzają się z wody, i gdyby nie chwywanie oddechu pod jej powierzchnią — skutkiem czego dostaje się ona do płuc i wypiera stamtąd powietrze. Atoli te szamotania i to chwywanie powietrza nie mają miejsca w przypadku „zwłok osób wrzuconych do wody bezpośrednio po gwałtownej śmierci”. Toteż w takich razach zwłoki w zasadzie nie powinny wcale iść na dno — jest to zjawisko, o którym publicyści z „L’Etoile” widocznie wcale nie wiedzą. Gdy rozkład poczyni bardzo znaczne postępy — gdy powłoka mięsna w znacznej mierze opadnie z kości — wówczas dopiero, ale nie wcześniej, trup niknie nam z oczu pod wodą.

Cóż teraz pocniemy z argumentem, iż zwłoki znalezione nie mogą być trupem Marii Rogêt, ponieważ wypłynęły na wierzch już po trzech dniach? Gdyby ją utopiono, mogłaby, jako kobieta, w ogóle nie pójść na dno, lub gdyby poszła na dno, mogłaby wypłynąć znowu na powierzchnię w dwadzieścia cztery godziny lub nawet w krótszym czasie. Wszelako nikt nie przypuszcza, że ją utopiono; skoro zaś wrzucono ją do rzeki już nieżywą, to można było znaleźć ją później na powierzchni w dowolnym czasie.

„Ale — pisze „L’Etoile” — gdyby te pokaleczone zwłoki przebywały na brzegu do wtorku wieczorem, to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców”. Zrazu trudno jest przeniknąć intencję tego rozumowania. Otóż autor jego stara się zapobiec temu, co, jak mu się zdaje, mogłoby być zarzutem przeciw jego teorii — mianowicie, że zwłoki pozostawione przez dwa dni na brzegu mogły ulec szybkiemu rozkładowi — znacznie szybszemu, niż gdyby znajdowały się w wodzie. Przypuszcza, że gdyby to zaszło, to byłyby mogły ukazać się na powierzchni we środek, i sądzi, że tylko pod tym warunkiem mogły istotnie się ukazać. Pośpiesza zatem, by wykazać, że zwłoki te nie przebywały na brzegu, gdyby bowiem tak było, „to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców”. Uśmiechniesz się zapewne z tego wniosku. Nie zdoła ci się pomieścić w głowie, dlaczego samo tylko pozostawienie zwłok na brzegu miałoby przyczynić się do pomnożenia śladów po zabójcach. Mnie się nie mieści także.

„Ponadto wydaje się najzupełniej nieprawdopodobne — brzmią dalej słowa owego dziennika — żeby zbrojnicy, którzy rzekomo dopuścili się tej zbrodni, mogli wrzucić ciało do wody, nie obciążwszy go przedtem celem zatopienia, skoro ta przezorność była tak łatwa do wykonania”. Zwróć, proszę cię, uwagę na to zabawne poplątanie myśli. Nikt — nawet „L’Etoile” — nie zaprzecza, iż na znalezionych zwłokach dopuszczono się zbrodni. Oznaki gwałtu zbyt są wyraźne. Zadaniem rozumującego publicysty jest po prostu dowieść, iż zwłoki te nie są zwłokami Marii. Chodzi mu o to, by wykazać, że Maria nie padła ofiarą zabójstwa — nie zaś o to, że padł jego ofiarą ów trup. Tymczasem jego rozumowania dowodzą właśnie tego ostatniego. Oto zwłoki, do których nie przytwierdzono ciężaru. Zabójcy, wrzucając je do rzeki, byłiby niezawodnie przytwierdzili ciężar.

Z tego wynika, iż nie wrzucili ich zabójcy. Oto wszystko, czego dowiedziono, jeśli w ogóle było czego dowodzić. Zagadnienia tożsamości nawet nie poruszono i „L'Etoile” była w wielkim kłopotcie, gdy trzeba było zaprzeczyć temu, co utrzymywało się przed chwilą. „Jesteśmy najzupełniej przekonani — pisze — iż znalezione zwłoki są zwłokami zabitej kobiety”.

I nie jest to odosobniony przykład, nawet w jednej i tej samej części wywodów, że rozumujący publicysta zwraca się bezwiednie w swych rozumowaniach przeciwko sobie samemu. Oczywistym jego zadaniem jest — jak już wspomniałem — zmniejszyć możliwie najbardziej przedział czasu między zniknięciem Marii a znalezieniem trupa. Atoli przekonaliśmy się, iż obstaje przy tym, jakoby nikt nie widział dziewczyny od chwili, kiedy przekroczyła próg mieszkania. „Nie mamy dowodu — powiada — że w niedzielę, dnia dwudziestego drugiego czerwca, po godzinie dziewiątej rano Maria Rogêt znajdowała się wśród żywych”. Ponieważ jego rozumowanie świadczy wyraźnie o *parti pris*, przeto byłby lepiej zrobił, gdyby ten szczegół pominął milczeniem; gdyż gdyby znalazł się ktoś, kto by zeznał, iż widział Marię w poniedziałek lub we wtorek, to wspomniany przedział mógłby doznać znacznego uszczuplenia i wedle jego własnego wnioskuwania wielce zmniejszyłoby się prawdopodobieństwo, że owe zwłoki nie są zwłokami gryzетки. Zabawną wszelako jest rzeczą, gdy się widzi, że „L'Etoile” upiera się przy tym szczególe w niewzruszonym przeświadczeniu, iż wychodzi on na korzyść zasadniczego rozumowania.

Przejrzyj teraz powtórnie tę część wywodów, która odnosi się do rozpoznania zwłok przez Beauvais'go. Co się tyczy owych włosów na ramieniu, to „L'Etoile” objawia najwyraźniej złą wolę. Monsieur Beauvais nie jest idiotą i stwierdzając tożsamość zwłok, nie mógł żadną miarą wnioskować o tym tylko na podstawie włosów na ramieniu. Nie ma ramienia bez włosów. Ogólnikowość wyrażen w „L'Etoile” jest po prostu przekręcaniem słów świadka. Niewątpliwie mówił on o jakiejś szczególniejszej właściwości tych włosów. Musiała to być właściwość barwy, ilości, długości lub rozmieszczenia.

„Stopy miała drobne — powiada dziennik — ale stóp takich jest tysiące. Jej podwiązki nie dowodzą niczego, tak samo jej obuwie, gdyż podwiązki i obuwia sprzedaje się na tysiące. To samo dałoby się powiedzieć o kwiatach przy jej kapeluszu. Monsieur Beauvais upiera się zawzięcie przy tej okoliczności, iż, jak się okazało, podwiązki były zwężone skutkiem przesunięcia sprzączki. Nie upoważnia to do żadnych wniosków, gdyż większość kobiet woli zabrać kupione podwiązki do domu i poczynić w nich zmiany odpowiednio do objętości swych nóg, niż przymierzać je w sklepie”. — Zaiste, trudno jest przypuścić, by mógł ktoś w ten sposób rozumować poważnie. Skoro Monsieur Beauvais, poszukując zwłok Marii, zdołał znaleźć trupa przypominającego z ogólnych kształtów i wyglądu zaginioną dziewczynę, to miał wszelkie powody mniemać (nawet nie biorąc pod uwagę odzieży), iż poszukiwania jego nie poszły na marne. Jeżeli prócz ogólnego zarysu kształtów znalazł na ramieniu osobliwsze, kosmate znamię, które zdarzyło się mu zauważyć u Marii, kiedy była jeszcze żywa — to mógł słusznie utwierdzić się w swym przeświadczeniu, zaś przyrost jego pewności pozostawał zapewne w prostym stosunku do osobliwości czy niezwykłości owego kosmatego znamienia. Jeżeli Maria miała drobne stopy, zaś stopy trupa były również drobne, to przyrost przeświadczenia, że owe zwłoki są zwłokami Marii, mógł wzmóc się już nie w stosunku arytmetycznym, lecz nawet geometrycznym, czyli spotęgowanym. Dodaj do tego wszystkiego obuwie, najzupełniej nieróżniące się od tego, które widziano na jej stopach w dniu, kiedy wyszła z domu, a przeświadczenie twoje, chociaż takie obuwie sprzedaje się podobno „na tysiące”, stanie na granicy pewności. To, co samo przez się nie stanowiłoby jeszcze oznaki tożsamości, nabiera dzięki swemu znaczeniu pomocniczemu mocy dowodu. Uwzględnij na ostatek kwiaty u kapelusza, zgodne z kwiatami, które nosiła zaginiona gryzетка, a dalsze poszukiwania okażą się zbyteczne. Gdyby chodziło tylko o jeden kwiat, to już nie pozostawałoby nic do życzenia — cóż zatem powiedzieć, jeśli ma się ich dwa, trzy lub więcej? Każdy następny jest dowodem zwielokrotnionym — nie dowodem dodanym do dowodu, lecz stokrotnie czy tysiąckrotnie pomnożonym. Na domiar widzimy u zmarłej podwiązki podobne do tych, jakich używała żywa — i zaiste, dalsze poszukiwania wydają się szaleństwem! Alіści okazuje się, iż te podwiązki zacieśniono przez przesunięcie sprzączek właśnie w ten sposób, jak to ze swoimi uczyniła Maria na krótko przed wyjściem z domu. Dalsze wątplenie byłoby matolkowatością lub obłudą. To, co „L'Etoile” powiada o zacie-

śnieniu tych podwiązek, które jakoby miało być czymś powszechnie przyjętym, dowodzi tylko uporczywości w błędzie. Elastyczność podwiązek tego rodzaju świadczy wymownie o wyjątkowości ich zacieśnienia. Przedmiot, sporządzony w ten sposób, iż sam się przystosowuje, nader rzadko potrzebuje pomocy do swego przystosowania. Widocznie zaszło coś takiego, iż zacieśnienie tych podwiązek okazało się potrzebne. One jedne wystarczyłyby w zupełności, by ustalić tożsamość Marii. Wszelako nie stało się w ten sposób, żeby znaleziony trup miał oddzielnie czy to podwiązki zaginionej dziewczyny, czy jej obuwie, czy jej kapelusz, czy kwiaty u jej kapelusza, czy jej stopy, czy osobliwsze znamię na ramieniu, czy wreszcie jej ogólny kształt i wygląd — lecz okazało się, że ów trup nie tylko, że ma te przedmioty, lecz że ma je wszystkie razem. Gdyby można było dowieść, iż publicysta z „L’Etoile” mimo tych okoliczności naprawdę wątpi, to nie trzeba by zwoływać dla niego komisji *de lunatico inquirendo*<sup>31</sup>. Zdawało mu się, że dowiedzie przenikliwości, gdy stanie się echem gawęd prawników, którzy przeważnie zadowolają się tym, iż wtórują prostolinijnym orzeczeniom trybunałów sądowych. Pozwolę sobie nawiasowo zauważyć, iż bardzo wiele z tego, co dla sądów nie ma mocy dowodu, jest właśnie najlepszym dowodem dla intelektu. Pochodzi to stąd, iż sądy, kierując się ogólnymi zasadami dowodzenia — zasadami uznany i skodyfikowanymi — są przeciwne wszelkim odchyleniom w szczególnych przypadkach. To niezłomne przestrzeganie zasady ze ścisłym pomijaniem sprzecznych wyjątków jest w dłuższym przedziale czasu niezawodnym sposobem osiągnięcia tego maksimum prawdy, jakie dano nam osiągnąć<sup>32</sup>. Praktyka *en masse*<sup>33</sup> jest zatem filozoficzna; nie da się jednakże zaprzeczyć, iż wynikają stąd wielkie pomyłki w razach wyjątkowych.

Jeżeli weźmie się pod uwagę podejrzenia zwrócone przeciw Beauvais’mu, to dość jest dmuchnąć, aby rozwiały się w niwecz. Przeniknąłeś już zapewne właściwy charakter tego pocziwca. To natręt o zapędach nader romantycznych i o kiepskiej głowie. Ludziom o takim ustroju psychicznym, kiedy są naprawdę wzburzeni, zdarza się zachowywać w ten sposób, iż narażają się na podejrzenia lisów zbyt szczwanych lub osób niechętnych. Monsieur Beauvais (jak okazuje się z twych notatek) rozmawiał kilkakrotnie z redaktorem „L’Etoile” i uraził go, pozwalając sobie wyrazić pogląd, iż ów trup wbrew teorii tego publicysty jest niezawodnie zwłokami Marii. „Upiera się — pisze dziennik — utrzymując, iż zwłoki te są zwłokami Marii, ale prócz szczegółów już przez nas oświetlonych nie umie przytoczyć niczego, co by mogło utwierdzić innych w tym przeświadczeniu”. Otóż pomijając już, iż niepodobna jest przytoczyć bardziej niezbitych dowodów, które by mogły „utwierdzić innych w tym przeświadczeniu”, bez trudności można wyobrazić sobie człowieka, który w podobnych razach sam jest najmocniej przekonany, a mimo to nie jest zdolny przytoczyć ani jednego argumentu dla przekonania innych. Nic nie jest bardziej nieuchwytnie od wrażenia czyjejś tożsamości. Każdy z nas rozpoznaje swego sąsiada, a jednak tylko w rzadkich wypadkach potrafimy uzasadnić to nasze rozpoznanie. Publicysta z „L’Etoile” nie ma zatem prawa czuć się urażony nieuzasadnionym przeświadczeniem Monsieur Beauvais’go.

Podejrzone okoliczności, w których się zagmatwał, o wiele lepiej dadzą się pogodzić z moją hipotezą romantycznego natręctwa niż z zarzutem winy, o którą go posądza rezonujący publicysta. Wyszedłszy z pobłażliwszego założenia, bez trudności zdamy sobie sprawę z róży w dziurce od klucza; ze słowa „Maria” na tabliczce; z „usuwania krewnych na bok”; z „niedopuszczania rodziny do obejrzenia zwłok”; z polecenia danego Madame B., by nie mówiła z żandarmem, zanim on, Beauvais, nie powróci; wreszcie z postanowienia, iż „nikt nie ma brać udziału w śledztwie prócz niego samego”. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Beauvais był wielbicielem Marii, że go kokietowała i że pochlebiał sobie,

<sup>31</sup>*de lunatico inquirendo* (łac.) — do stwierdzenia niepoczytalności. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>To niezłomne przestrzeganie zasady ze ścisłym pomijaniem sprzecznych wyjątków... — „Teoria oparta na właściwościach jednego przedmiotu nie może osiągnąć rozwoju, który by pozwolił jej ogarnąć wszystkie wchodzące w jej skład przedmioty; kto zaś porządkuje zjawiska wedle ich przyczyn, ten przestaje je oceniać wedle ich wyników. Jakoż dowodzi prawodawstwo wszystkich narodów, iż prawa przestają być sprawiedliwością, kiedy staną się nauką i systemem. Błędy, w jakie ślepa uległość względem zasad klasyfikacji wtrąca prawo zwyczajowe, nietrudno jest dostrzec, kiedy się zważy, jak często władze ustawodawcze musiały spieszyć z pomocą słuszności, która zdążyła się zatracić w swych schematach”. (Landor [Walter Savage Landor (1775–1864), pisarz angielski; red. WL]). [przypis autorski]

<sup>33</sup>*en masse* (fr.) — masowo, na ogół, w większości. [przypis edytorski]

jakoby był jej najbliższy i posiadał zupełne jej zaufanie. Nie będę rozwodził się dłużej nad tym szczegółem; ponieważ zaś zeznania świadków obaliły w zupełności twierdzenie publicysty z „L’Etoile”, jakoby matka i inni krewni okazywali apatię (która zresztą nie godzi się z przypuszczeniem, iż nie wierzyli, jakoby owe zwłoki były zwłokami panny z perfumerii) — przeto będziemy odtąd prowadzili nasze badania w ten sposób, jak gdyby sprawa tożsamości była załatwiona ku najzupełniejszemu naszemu zadowoleniu.

— A co myślisz — zagadnąłem — o zapatrywaniach „Commercial”?

— Że w zasadzie zasługują więcej na uwagę niż wszystkie inne. Wnioski, wysnute z założeń, są filozoficzne i świadczą o przenikliwości; atoli założenia, przynajmniej w dwu przypadkach, opierają się na niedokładnych spostrzeżeniach. „Le Commercial” podsuwa myśl, jakoby Marię pojmała jakaś szajka znikczemniałych hulaków opodal od mieszkania jej matki. „Jest rzeczą niemożliwą — powiada — by osoba tak dobrze znana tysiącom ludzi, jak ta młoda kobieta, mogła minąć trzy domy i nie być widzianą przez nikogo”. Jest to rozumowanie człowieka od dawna mieszkającego w Paryżu, rozgłośnego działacza, którego wędrówki po mieście ograniczały się przeważnie do sąsiednich urzędów publicznych. Wie, iż rzadko zdarza się mu oddalić o dwanaście domów od swego biura, by go ktoś nie poznał i nie pozdrowił. I mając na myśli, jak wiele osób sam zna, tudzież jak wielu jest znany, porównywa swą wziętość z wziętością panny z perfumerii, nie widzi między nimi wielkiej różnicy i od razu dochodzi do wniosku, iż chodząc po mieście, równie łatwo podlegała rozpoznaniu, jak on sam. Byłoby to słuszne tylko w takim razie, gdyby jej wędrówki miały również ten sam niezmienny, metodyczny charakter i gdyby się odbywały — podobnie jak to z nim bywa — w tym samym ograniczonym zasięgu. Idzie i wraca w odstępach regularnych, nie przekracza ograniczonego terenu, gdzie pełno jest ludzi, którzy zwracają uwagę na jego osobę, gdyż jego zajęcia są pokrewne z ich zajęciami. Natomiast wędrówki Marii — jak trzeba przypuszczać — bywały na ogół raczej wałęsaniem się. W wypadku, który przede wszystkim nas zajmuje, należy uważać za rzecz nader prawdopodobną, iż wybrała drogę odbiegającą wielce od tych, którymi zwykła była chodzić. Równorzędność, która zdaniem moim, wytworzyła się w umyśle publicysty z „Le Commercial”, mogłaby mieć uzasadnienie tylko w takim razie, gdyby wzięło się pod uwagę dwie osoby chodzące po całym mieście. W tym wypadku, jeżeli przyjmiemy, że liczba ich znajomości jest równa, istnieje prawdopodobieństwo, iż liczba spotkanych znajomych będzie także równa. Osobiście uważałbym za rzecz nie tylko możliwą, lecz nawet więcej niż prawdopodobną, iż Marii zdarzyło się chodzić o różnych porach i różnymi drogami prowadzącymi z jej mieszkania do mieszkania jej ciotki i nie spotykać przy tym ani jednej osoby, którą by znała lub przez którą byłaby znana. Chcąc ujrzyć to zagadnienie w pełnym i właściwym świetle, nie można zapominać ani na chwilę o bezmiernej różnicy, jaka zachodzi między ilością znajomych najbardziej nawet znanego w Paryżu człowieka a liczbą wszystkich mieszkańców tej stolicy.

Jeżeli jednak domysł „Le Commercial” może przedstawiać jeszcze jakąś wartość, to zmniejszy się ona wielce, gdy weźmiemy pod uwagę godzinę, o której dziewczyna wyszła na miasto. „Ulice roily się od ludzi — pisze „Le Commercial” — kiedy wyszła z domu”. Tymczasem stało się inaczej. Była dziewiąta rano. Otóż o dziewiątej każdego dnia w tygodniu, prócz niedzieli, ulice miasta istotnie roją się od ludzi. O dziewiątej w niedzielę mieszkańcy są przeważnie w domu i przygotowują się, by pójść do kościoła. Człowiek niepozbawiony zmysłu spostrzegawczego musi zauważyć szczególnie opustoszały wygląd miasta od ósmej do dziesiątej rano co niedziela. Od dziesiątej do jedenastej rano ulice są zatłoczone, nie dzieje się to atoli o tak wczesnej porze, jak w dzienniku podano.

Jest jeszcze inny szczegół, co do którego spostrzegawczość „Le Commercial” nie dopisała. „Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny — powiada on — długi na dwie stopy i szeroki na jedną, oddarto, okręcono dokoła jej szyi i zawiązano na karku, prawdopodobnie w tym celu, by stłumić krzyki. Uczynili to zbrojnie, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa”. Na ile ten pogląd jest czy nie jest uzasadniony, przekonamy się później; jednakże publicysta mniema, iż owymi „zbrojnicami, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa” były najędzniejsze rzezimieszki. Tymczasem ci właśnie należą do ludzi, którzy nawet wówczas posiadają chustki do nosa, gdy nie mają na grzbiecie koszuli. Zauważyłeś zapewne, jak od pewnego czasu chustka do nosa stała się wprost niezbędną dla skończonych opryszków.



— A cóż należy myśleć — zapytałem — o artykule w „Le Soleil”?

— Jaka to szkoda, że redaktor tego czasopisma nie urodził się papugą, gdyż byłby niewątpliwie znakomitością wśród tej ptasiej odmiany. Powtórzył on po prostu poglądy już ogłoszone, szperając za nimi z chwalebłą zapobiegliwością po różnych dziennikach. „Rzeczy te leżały tam widocznie — powiada on — co najmniej ze trzy lub cztery tygodnie” i „nie ulega wątpliwości, iż powiodło się odkryć widownię tej ohydnej zbrodni”. Szczegóły, przytoczone ponownie przez „Le Soleil”, nie nadają się zaiste do rozproszenia mych wątpliwości w tej sprawie i przyjdzie nam je szczegółowiej zbadać w związku z innym działem tego zagadnienia.

Obecnie musimy się zająć odmiennymi dochodzeniami. Niepodobna, żebyś nie zauważył, jak pobieżnie dokonano badania zwłok. Zapewne, iż zagadnienie ustalenia tożsamości nie przedstawiało lub przynajmniej nie powinno było przedstawiać większych trudności; atoli pozostawały jeszcze inne szczegóły do sprawdzenia. Czy dopuszczono się na tych zwłokach jakiej grabieży? Czy zmarła miała na sobie jakie kosztowności, gdy wychodziła z domu? Jeżeli zaś miała, to czy je odnaleziono? Są to zagadnienia wielkiej wagi, zupełnie pominięte przy śledztwie; a znalazłyby się inne, niemniej ważne, na które nie zwrócono uwagi. Poczynimy starania, by dowiedzieć się o tym wszystkim na własną rękę. Sprawę Saint-Eustache’a należy poddać ponownemu zbadaniu. Nie podejrzewam go, ale należy działać metodycznie. Musimy się upewnić ponad wszelką wątpliwość co do wiarygodności affidavitów zaświadczających, gdzie przebywał kolejno owej pamiętnej niedzieli. Dokumenty tego rodzaju bywają niejednokrotnie środkiem mistyfikacji. Jeżeli okażą się bez zarzutu, to pominiemy Saint-Eustache’a przy dalszych dochodzeniach. Jego samobójstwo, które przyczyniałoby się do wzmocnienia podejrzeń, gdyby w owych affidavitach odkryto jakieś kręctwa, nie jest — o ile ich się nie znajdzie — bynajmniej czymś nieprzeniknionym lub czymś, co by zniewalało nas do zboczenia od zwyczajnej analizy.

W tym, co obecnie mam na celu, zamierzam pominąć wewnętrzne szczegóły tej tragedii, a skupić całą uwagę na jej zarysach zewnętrznych. W dochodzeniach takich jak niniejsze popełnia się zazwyczaj ten błąd, iż ogranicza się śledztwo do szczegółów bezpośrednich, a nie dba się zupełnie o zdarzenia uboczne lub okolicznościowe. Jest to nader niewłaściwe ze strony sądów, iż zacieśniają zeznania i dyskusję do tego, co namacalnie mieści się w zakresie danej sprawy. Bowiem doświadczenie już wykazało, a prawdziwa filozofia będzie zawsze wykazywała, że znaczna, może nawet większa część prawdy wynika z okoliczności pozornie ze sprawą niezwiązanych. Z ducha tej zasady, jeżeli niekoniecznie z jej litery, pochodzi to zjawisko, że nauka nowoczesna skłonna jest do liczenia się z tym, co nieprzewidywane. Ale może ty mnie nie pojmujesz? Dzieje wiedzy ludzkiej dowodziły z taką nieprzerwaną ciągłością, iż zdarzeniom ubocznym, przypadkowym i nieistotnym zawdzięczamy najliczniejsze i najważniejsze odkrycia, że w końcu trzeba było, licząc się z przyszłością dalszego postępu, poczynić nie tylko wielkie, ale nawet bardzo wielkie ustępstwa dla wynalazków poczynających się z przypadku i znajdujących się poza obrębem oczekiwań zwyczajnych. Niefilozoficznie już jest szukać oparcia na minionej wizji tego, co być powinno. Trzeba pozwolić, by przypadek stał się częścią podwalin. Dla nas jest on przedmiotem ścisłego rozumowania. Podporządkujemy to, co jest niedościgłe dla wyobraźni, czemu nie może sprostać przewidywanie, matematycznym formułom naukowym.

Jest już więcej niż pewnikiem — powtarzam raz jeszcze — iż większa część wszelkiej prawdy bierze początek ze zjawisk ubocznych. Będzie to więc najzupełniej zgodne z duchem zasady zawartej w tym twierdzeniu, gdy w sprawie, która nas obchodzi, odstąpię od badań na ubitym i dotychczas jałowym gruncie samego zdarzenia i zwrócę się do współczesnych okoliczności, których jest ono ośrodkiem. Ty zabierzesz się do sprawdzania wiarygodności affidavitów, o których mówiliśmy, ja zaś zajmę się zbadaniem dzienników nieco szczegółowiej, niż ty to czyniłeś. Dotychczas rozglądaliśmy się tylko po polu badania; lecz byłoby zaiste rzeczą dziwną, gdyby rozumowy przegląd pism codziennych, którego się podejmę, nie dostarczył nam kilku drobnych wskazań, pomocnych do ustalenia kierunku dochodzeń.

Wywiązując się z zadania poruczonego mi przez Dupina, poddałem dokładnemu badaniu sprawę affidavitów. Wynikiem było niewzruszone przeświadczenie o ich wiarogod-

ności i — co za tym idzie — o niewinności Saint-Eustache'a. Tymczasem mój przyjaciel pograżył się z drobiazgowością, która wydawała się mi najzupełniej zbyteczna, w przeglądaniu wycinków z różnych dzienników. Pod koniec tygodnia przedłożył mi wypisy następujące:

Mniej więcej trzy i pół roku temu powstało zamieszanie nader podobne do obecnego, wywołane zniknięciem teje samej Marii Rogêt z perfumerii Monsieur Le Blanca w Palais-Royal. Wszelako pod koniec tygodnia pojawiła się znowu przy kasie sklepowej, najzupełniej zdrowa, acz nieco bledsza niż zazwyczaj. Monsieur Le Blanc i jej matka rozgłaszali, iż przebywała na wsi u jakiejś przyjaciółki, i cała ta sprawa rychło przycichła. Przypuszczamy, iż nieobecność terażniejsza jest podobnym wybrykiem i że po upływie tygodnia lub może miesiąca znowu do nas zawita. („Evening Paper”<sup>34</sup> z poniedziałku, 23 czerwca).

Jeden z dzienników wieczornych w nrze wczorajszym napomyka o poprzednim, zagadkowym zniknięciu Mademoiselle Rogêt. Wiadomo powszechnie, iż zniknąwszy z perfumerii Le Blanca, przebywała przez tydzień w towarzystwie młodego oficera marynarki, znanego rozpustnika. Podobno jakaś sprzeczka sprowadziła ją z powrotem do domu. Znamy nazwisko rzeczonoego Lotharia<sup>35</sup>, który obecnie przebywa w Paryżu, lecz dla łatwo zrozumiałych powodów nie uważamy za właściwe podawać go do wiadomości publicznej. („Le Mercure”<sup>36</sup>, środa rano, 24 czerwca).

Ohydnej zdrożności dopuszczono się przedwczoraj rano w pobliżu miasta. Pewien pan, w towarzystwie swej żony i córki, ugodził się o zmierzchu z sześciu młodzieńcami, których łódź krążyła beczynnym w pobliżu mielizn na Sekwanie, iż przewiozą go przez rzekę. Popłynąwszy do przeciwległego brzegu, troje pasażerów wysiadło i odeszło tak daleko, iż łodzi nie było już widać, kiedy dziewczyna zauważyła, iż zapomniała parasolki. Wróciła po nią, lecz wpadła w ręce owych złoczyńców, którzy zabrali ją ze sobą na rzekę, związali, nikczemnie sponiewierali i w końcu wysadzili na ląd opodal od miejsca, gdzie poprzednio wsiadła do łodzi ze swymi rodzicami. Niegodziwcom udało się ująć na razie, ale policja jest na ich tropie i wkrótce kilku z nich uwięzi. („Morning Paper”<sup>37</sup>, 25 czerwca).

Otrzymałiśmy jeden czy dwa listy, które chcą zwalić na Mennais'go<sup>38</sup> ohydę niedawno popełnionej zbrodni; ponieważ jednak śledztwo sądowe wykazało zupełną jego niewinność, zaś argumenty niektórych korespondentów naszych wynikają — jak się zdaje — raczej z zapalczywości niż rozważli, przeto nie uważamy za właściwe podawać ich do wiadomości publicznej. („Morning Paper”<sup>39</sup>, 28 czerwca).

Otrzymałiśmy kilka energicznie brzmiących komunikatów, pochodzących zapewne z różnych źródeł. Utrzymują one z całą stanowczością, iż nie-szczęśliwa Maria Rogêt padła ofiarą jednej z licznych szajek opryszków, waleśających się co niedzieli w pobliżu miasta. Wedle naszego mniemania przypuszczenia te są najzupełniej słuszne. Postaramy się wkrótce omówić szerzej niektóre z podanych argumentów. („Evening Paper”<sup>40</sup>, wtorek, 31 czerwca).

W poniedziałek jeden z przewoźników pozostających na służbie władz skarbowych zauważył na Sekwanie pustą łódź, ponoszoną prądem rzeki. Na dnie tej łodzi leżały żagle. Przewoźnik zawlókł ją na linie do urzędu portu-

<sup>34</sup>„Evening Paper” — „New York Express”. [przypis autorski]

<sup>35</sup>Lothario — postać z tragedii Nicholasa Rowe'a *The Fair Penitent* (1703): pozbawiony skrupułów uwodziciel kobiet; jego imię w kulturze angielskiej stało się synonimem uwodziciela. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>„Le Mercure” — „New York Herald”. [przypis autorski]

<sup>37</sup>„Morning Paper” — „New York Courier and Inquirer”. [przypis autorski]

<sup>38</sup>Mennais — Mennais był jedną z osób zrazu podejrzanym i aresztowanym; rychło go jednak uwolniono z powodu zupełnego braku dowodów. [przypis autorski]

<sup>39</sup>„Morning Paper” — „New York Courier and Inquirer”. [przypis autorski]

<sup>40</sup>„Evening Paper” — „New York Evening Post”. [przypis autorski]

wego. Następnego ranka ktoś zabrał ją stamtąd bez wiedzy urzędników. Ster pozostał w urzędzie portowym. („La Diligence”<sup>41</sup>, czwartek, 6 czerwca.)

Czytając te wypisy, doznawałem wrażenia, iż nie mają nic wspólnego ze sprawą, i nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób można by je z nią powiązać. Oczekiwałem zatem wyjaśnień od Dupina.

— Nie jest obecnie moim zamierzeniem — odezwał się — kłaść nacisk na pierwsze dwa wypisy. Przepisałem je głównie w tym celu, by wykazać ci krańcowe niedbalstwo policji, która — o ile dowiedziałem się od prefekta — nie postarała się bynajmniej o zbadanie wzmiankowanego oficera marynarki. Ależ to istne szaleństwo utrzymywać, iż między jednym a drugim zniknięciem Marii nie ma przypuszczalnego związku! Wyjdźmy z założenia, iż pierwsza ucieczka skończyła się sprzeczką między kochankami i powrotem pod dach rodzicielski zawiedzionej dziewczyny. Pozwoli nam to uważać powtórną ucieczkę (o ile uznamy, że była to ucieczka) raczej za wskazówkę wznowionych starań uwodziciela niż za wynik umizgów jakiegoś nowego wielbiciela — czyli jesteśmy przygotowani do poglądu, iż było to raczej „sklejenie” dawniejszej miłości niż nawiązanie nowej. Przemawia za tym dziesięć przeciw jednemu, że człowiek, który już raz uciekał z Marią, mógł ją łatwiej namówić do ponownej ucieczki, niż żeby Maria, którą wcześniej namówił do ucieczki jeden człowiek, dała się do niej nakłonić drugiemu. Tutaj pozwolę sobie zwrócić twoją uwagę na tę okoliczność, iż przedział czasu między pierwszą sprawdzoną a drugą domniemaną ucieczką różni się zaledwie o parę miesięcy od okresu, w jakim zwykły przebywać na pełnym morzu nasze okręty wojenne. Czy owemu kochankowi w jego pierwszej niegodziwości przeszkodziła konieczność wyjazdu na morze i czy po powrocie skorzystał z pierwszej sposobności, by wznowić swe nikczemne zabiegi, jeszcze niezupełnie zakończone? Nic o tym wszystkim nie wiemy.

Mógłbyś jednak powiedzieć, że w drugim wypadku mamy do czynienia tylko z domniemaną ucieczką. Zapewne — lecz czyż możemy utrzymywać, że nie było zamiarów udaremniionych? Poza Saint-Eustache’em i może Beauvais’m nie wiemy nic o uznanych, jawnych, godnych wielbicielach Marii. Nie mówiono o nikim innym. Któż zatem jest owym tajemniczym kochankiem, o którym krewni (przynajmniej ich większość) nic nie wiedzą, lecz z którym Maria spotyka się w niedzielę rano i w którym takie pokłada zaufanie, iż nie waha się przebywać z nim aż do samego zmięzchu w ustronnych zagajnikach przy Barrière du Roule? Któż jest — powtarzam — owym tajemniczym kochankiem, o którym przynajmniej większość krewnych nic nie wie? I co znaczyła osobliwsza przepowiednia Madame Rogêt, która rano po odejściu Marii powiedziała: „Obawiam się, że Marii już nigdy nie zobaczę”.

Skoro jednak niepodobna podejrzewać, że Madame Rogêt wiedziała o zamiarze ucieczki, to czyż przynajmniej nie można przypuszczać, iż zamiar ten powzięła dziewczyna? Wychodząc z domu, uprzedziła, iż wybiera się do swej ciotki przy rue des Drômes, zaś Saint-Eustache miał przyjść po nią o zmięzchu. Otóż na pierwszy rzut oka okoliczność ta pozostaje w jaskrawej sprzeczności z moim przypuszczeniem; ale zastanówmy się dokładniej! Wiadomo jest, iż znalazła po drodze jakiegoś towarzysza, że przepawiła się z nim przez rzekę i wysiadła na ląd koło Barrière du Roule późno, gdyż dopiero około trzeciej po południu. Wszelako zgadzając się towarzyszyć owemu osobnikowi (dla jakiegoś celu — znanego lub nieznanego jej matce), myślała niewątpliwie o tym, co powiedziała, wychodząc z domu, tudzież o zdumieniu i podejrzeniach, jakie musiałyby załąć się w umyśle jej narzeczonego, Saint-Eustache’a, gdyby przyszedłszy o umówionej godzinie na rue des Drômes, nie zastał jej tam i gdyby na domiar, powróciwszy do pensjonatu z tą niepokojącą wiadomością, dowiedział się, że wciąż jeszcze jest nieobecna. Powtarzam, iż musiała myśleć o tym. Musiała przewidywać zmartwienie Saint-Eustache’a i podejrzenia całej swej rodziny. Niepodobna, żeby nie myślała, iż po powrocie narazi się na te podejrzenia, które natomiast stawały się dla niej czymś nader błahym, jeżeli przyjmujemy, iż nie zamierzała powrócić.

Można by sobie wyobrazić, iż tok jej myśli był następujący: „Mam się spotkać z kimś celem ucieczki lub dla jakichś innych powodów, znanych tylko mnie samej. Trzeba urządzić się tak, żeby nic nie stanęło na przeszkodzie — trzeba zyskać na czasie, byśmy mogli

<sup>41</sup>„La Diligence” — „New York Standard”. [przypis autorski]

ujść pościgu — rzucę od niechcenia, że wybieram się na cały dzień do mej ciotki przy rue des Drômes — powiem narzeczonemu, żeby przyszedł po mnie dopiero o zmierzchu — w ten sposób moja nieobecność przeciągnie się możliwie długo, nie budząc zaniepokojenia i podejrzeń, ja zaś więcej zyskam na czasie, niż gdybym postąpiła inaczej. Jeżeli poproszę Saint-Eustache'a, by przyszedł po mnie o zmierzchu, to na pewno nie przyjdzie wcześniej; jeżeli natomiast nie poproszę go o to wcale, to czas nadający się do uciezki znacznie się zmniejszy, gdyż wszyscy będą oczekiwali, że powrócę wcześniej, a nieobecność moja rychlej wywoła zaniepokojenie. Gdybym w ogóle zamierzała powrócić, gdybym chciała tylko odbyć wycieczkę z osobą mi wiadomą — to nie byłoby przemyślnie z mej strony prosić Saint-Eustache'a, by przyszedł po mnie, gdyż przyszedłszy, dowiedziałby się na pewno, że wyprowadziłam go w pole — o czym mógłby zupełnie nie wiedzieć, gdybym wyszła z domu, nie mówiąc mu o swych zamiarach, powróciła przed zmierzchem, a następnie opowiedziała, iż byłam u mej ciotki przy rue des Drômes. Ponieważ jednak nie zamierzam wcale powrócić — lub też powrócę po kilku tygodniach albo wówczas, kiedy zdążę się z czymś ukryć — zysk na czasie jest jedynym względem, o który muszę się troszczyć”.

Zaznaczyłeś w swych notatkach, iż powszechnie mniema się i mniemało od samego początku, jakoby ta dziewczyna padła ofiarą szajki opryszków. Otóż opinii powszechnej nie należy w pewnych razach lekceważyć. Jeżeli poczyna się sama przez się, jeżeli objawia się wprost odruchowo, trzeba uważać ją za przejaw podobny do intuicji, która jest właściwością jednostek genialnych. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto polegałbym na jej orzeczeniach. Wszelako jest rzeczą ważną, by nie nosiła śladów jakiejś sugestii. Opinia winna być ściśle własnym odruchem publiczności i niejednokrotnie jest nader trudno wyczuć tę różnicę i ją określić. Zdaje się mi, iż w wypadku obecnym ta „opinia publiczna”, o ile chodzi o ową szajkę, dała się kierować zdarzeniu ubocznemu, przytoczonemu w trzecim moim wypisie. Cały Paryż jest podniecony odkryciem zwłok Marii, dziewczyny młodej, pięknej i głośniejszej. Zwłoki te, sponiewierane znamionami okrucieństwa, znaleziono pływające w rzece. I oto rozchodzi się wiadomość, iż w tym samym lub niemal w tym samym czasie, kiedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na dziewczynie tej dopuszczono się zabójstwa, zdarzyła się inna niegodziwość, podobna do tej, której uległa zmarła, aczkolwiek nie tak potworna, i że sprawcami jej była szajka młodych złoczyńców, zaś ofiarą również młoda kobieta. Czyż jest w tym coś dziwnego, iż znane szkaradziejstwo może oddziaływać na opinię publiczną także w stosunku do nieznanego? Opinia ta domagała się wskazówek, a owa zbrodnia znana nastęrczała je tak pochopnie! Przy tym Marię znaleziono w rzece, zaś owej zbrodni znanej dokonano nad tą samą rzeką! Łączność, zachodząca między tymi dwoma zdarzeniami, była tak bardzo namacalna, iż byłoby dziwem nad dziwami, gdyby lud zaniedbał podchwycić ją i ocenić. Tymczasem rzecz przedstawia się tak, że jedna okropność, o której wiadomo, w jaki sposób została dokonana, jest niemal niezawodną wskazówką, że druga okropność, której dopuszczono się prawie równocześnie, nie będzie dokonana w ten sam sposób. Byłoby zaiste cudem, gdyby nastąpił taki zbieg okoliczności, iż kiedy jedna szajka złoczyńców popełnia w danym miejscu niesłychaną niegodziwość, omal równocześnie pojawia się inna, podobna szajka, w podobnym miejscu w tym samym mieście, w tych samych okolicznościach, rozporządzająca takimi samymi środkami i posługująca się nimi w ten sam sposób dla dokonania jota w jotę podobnej ohydy! W cóż jednak każe nam wierzyć przypadkowo zasugerowana opinia publiczna, jeśli nie w taki osłupiający zbieg okoliczności?

Zanim podążymy dalej, zastanówmy się nad domniemaną widownią zabójstwa, w gęstwinie koło Barrière du Roule. Zarośla te, aczkolwiek gęste, rozpościerają się tuż obok gościńca. W ich głębi leżały trzy czy cztery wielkie kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Na kamieniu górnym znaleziono białą spódniczkę, zaś na innym jedwabną szarfę. Leżała tam również parasolka, rękawiczki i chustka do nosa. Chustka była oznaczona napisem „Maria Rogêt”. Na pobliskich krzakach widniały strzępy odzieży. Ziemia była zdeptana, krzewy połamane, słowem, znać było wyraźne ślady zacieklej walki.

Mimo poklasku, z jakim odkrycie tej gęstwiny przyjęła prasa, i mimo jednomyślności, z jaką przypuszczano, iż stanowi ona właściwą widownię zbrodni, trzeba przyjąć, iż istnieje sporo nie byle jakich względów, które każą o tym wątpić. Iż była widownią,

można wierzyć lub nie wierzyć, ale wątpieniu oprzec się nie można. Jeżeli rzeczywista widownia znajdowała się — jak domyśla się „Le Commercial” — w pobliżu rue Pavée-Saint-André, to sprawców tej zbrodni, którzy wedle mojego przypuszczenia przebywają wciąż jeszcze w Paryżu, ogarnęło niezawodnie przerażenie, gdy przekonali się, iż uwaga publiczna zdołała z taką przenikliwością zwrócić się we właściwe łożysko; zaś w pewnego rodzaju umysłach mogło od razu rozbudzić się poczucie, iż trzeba coś uczynić, by odwrócić tę uwagę w inną stronę. A ponieważ gęstwina koło Barrière du Roule wydawała się już podejrzana, przeto mógł zrodzić się pomysł umieszczenia tam przedmiotów, które później znaleziono. Wbrew temu, co przypuszcza „Le Soleil”, nie ma istotnych dowodów, że przedmioty znalezione leżały dłużej niż kilka dni w zaroślach; natomiast więcej przemawia za tym, iż nie mogły pozostawać tam, nie zwracając niczyjej uwagi, przez dwadzieścia dni, które upłynęły między fatalną niedzielą a owym popołudniem, kiedy znaleźli je chłopcy. „Wszystkie zbutwiały od deszczu — wyraża się „Le Soleil”, przywłaszczając sobie mniemania swych poprzedników — i pozlepiały się pleśnią. Dokoła wybujała trawa i po części je zakryła. Jedwab na parasolce był mocny, ale szwy puściły. Część górna pokrycia w tym miejscu, gdzie tkanina miała podkładkę i była sfałdowana, zbutwiała i przegniła do tego stopnia, iż rozdarła się, kiedy parasolkę otworzono”. Jeżeli jest mowa o tym, że trawa „wybujała dokoła i po części je zakryła”, to oczywista, że szczególnie ten mógł znaleźć potwierdzenie tylko w słowach, którymi przejawiały się wspomnienia dwu malców, gdyż ci malcy zabrali owe przedmioty i zanieśli je do domu, zanim zdążył zobaczyć je ktoś trzeci. Przy tym trawa, jeśli pogoda jest ciepła i wilgotna (a taka właśnie była w okresie owego zabójstwa), może urósć w przeciągu jednego dnia na dwa do trzech cali. Parasolka, położona na świeżo kielkującej murawie, może zniknąć zupełnie sprzed oczu w przeciągu tygodnia pod bujnie rozwijającą się zielenią. Co zaś do owej pleśni, przy której publicysta z „Le Soleil” obstaje z taką uporczywością, iż używa tego słowa aż trzy razy w krótkim ustępie, dopiero co przytoczonym, to czyż podobna, żeby naprawdę nie zdawał sobie sprawy z rodzaju tej pleśni? Czy trzeba go pouczać, iż jest to jedna z licznych odmian grzybka, którego najpospolitsza właściwość polega na tym, iż pleni się i zanika w ciągu dwudziestu czterech godzin?

Widzimy zatem od pierwszego wejrzenia, iż to, co tak tryumfująco przytaczano na poparcie poglądu, jakoby owe przedmioty leżały „co najmniej trzy lub cztery tygodnie” w gęstwinie, jest skończoną niedorzecznością, o ile chodzi o jakiegokolwiek uzasadnienie. Z drugiej strony jest nadzwyczaj trudno uwierzyć, żeby owe przedmioty mogły leżeć w rzeczony gęstwinie dłużej niż tydzień — dłużej niż od jednej niedzieli do drugiej. Kto zna trochę okolice Paryża, ten wie, jaką ogromną trudność przedstawia znalezienie ustronia, o ile go się nie szuka w znacznej odległości od krańców miasta. Zakątek niezbadany lub bodaj nieczęsto odwiedzany w tych lasach i zagajnikach nie da się wprost pomyśleć. Jeżeli jakiś szczerzy miłośnik przyrody, uwięziony swymi obowiązkami wśród kurzu i skwaru tej wielkiej metropolii, zechce, chociażby w dzień powszedni, ugasić swe pragnienie samotności wśród zmiennych uroków przyrody, która bezpośrednio nas otacza — to nie zdąży postąpić nawet dwu kroków, żeby wszczynającego się zaklęcia nie rozproszyło nawoływanie lub osobiste pojawienie się jakiegoś hultaja czy szajki zapitych opryszków. Będzie szukał zacisza w najgęstszym listowiu, ale na próżno. Właśnie w tych ustroniach roi się po prostu od ludzkiego niechlujstwa — są to najbardziej zbezczeszczone świątynie. Z niesmakiem w duszy wróci wędrowiec pośpiesznie do Paryża, by zapaść w stek ohydy, wszelako mniej odrażającej, gdyż nie tak bezecnej. Skoro więc okolice podmiejskie są tak nawiedzane w dni powszednie, to cóż dopiero mówić o niedziel! Jest to dzień, kiedy, wyzwolone z pęt pracy lub pozbawione zwykłej sposobności do występku, wszelkie szumowiny miejskie wyruszają za miasto, nie z upodobania do sielskich uroków, którymi w głębi duszy gardzą, lecz żeby uniknąć przymusów i nawyków kulturalnych. Pożądamy one nie tyle świeżego powietrza i zieleni drzew, co nieskrępowanej swawoli, jakiej używa wieś. Tutaj, w przydrożnej karczmie lub w cieniu drzew, czując, że nie śledzi ich już spojrzenie niczyje prócz oczu godnych towarzyszy, pogrążają się te wyrzutki w rozpasaniu fałszywej wesołości, pomiotu rumu i swobody. Nie nadmienię nic ponadto, co każdemu nieuprzedzonemu a spostrzegawczemu człowiekowi po prostu rzuca się w oczy, wszelako powtarzam, iż byłoby niemal cudem, gdyby zdarzyło się, że rzeczony

przedmioty pozostawałyby nietknięte w jakiegokolwiek gęstwinie tuż pod Paryżem dłużej niż od jednej niedzieli do drugiej.

Atoli istnieją jeszcze inne powody do przypuszczeń, iż owe przedmioty umieszczono w gęstwinie celem odwrócenia uwagi od właściwej widowni zbrodni. Przede wszystkim pozwolę sobie zwrócić twą uwagę na datę znalezienia tych przedmiotów. Zestaw ją z datą piątego mojego wypisu z dzienników. Przekonasz się, że odkrycie to nastąpiło niemal bezpośrednio po rozesłaniu natarczywych komunikatów do dzienników wieczornych. Komunikaty te, aczkolwiek różne i na pozór pochodzące z różnych źródeł, zmierzają wszystkie ku temu samemu celowi — mianowicie, by zwrócić uwagę na szajkę sprawców zbrodni i na okolicę *Barrière du Roule* jako domniemaną jej widownię. Otóż podejrzenie polega nie na tym, iż skutkiem owych komunikatów, czy też uwagi publicznej przez nie pokierowanej, malcy znaleźli te przedmioty; lecz mogłoby i może polegać na tym, że dzieci nie znalazły wcześniej tych przedmiotów, ponieważ ich w zaroślach nie było. Umieścili je tam równocześnie z datą lub na krótko przed datą owych komunikatów ich winni autorzy.

Te zarośla były osobliwe — nader osobliwe. Odznaczały się nadzwyczajną gęstością. W okolicy ich samorodnych ścian znajdowały się trzy szczególniejsze kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. A gęstwina ta, pełna uroków przyrodzonego arcyzmu, znajdowała się w bezpośrednim pobliżu, o kilka prętów<sup>42</sup> od mieszkania *Madame Deluc*, której malcy mieli zwyczaj starannie przetrząsać chaszczę, poszukując kory *sassafras*<sup>43</sup>. Czyż nie można by iść o zakład — postawić tysiąc przeciw jednemu — iż nie było dnia, żeby przynajmniej jeden z tych chłopców nie ukrywał się w tym cieniście przebytku, nie zasiadał na tym naturalnym tronie? Kto by wahał się iść o taki zakład, ten albo nigdy nie był chłopcem, albo zapomniał chłopięcej natury. Powtarzam, iż jest niesłychanie trudno pojąć, w jaki sposób owe przedmioty mogły pozostawać niepostrzeżone w gęstwinie dłużej niż jeden lub dwa dni; istnieją zatem, wbrew dogmatycznej bezmyślności publicysty z „*Le Soleil*”, wszelkie powody do przypuszczeń, iż je tam względnie dość późno umieszczono.

Istnieją wszelako jeszcze inne argumenty, znacznie mocniejsze od już przytoczonych, które każą wierzyć, że je tam podłożono. Zwróć, proszę cię, uwagę na nader sztuczne rozmieszczenie tych przedmiotów. Na górnym kamieniu widniała biała spódniczka; na drugim szarfa jedwabna; porozrzucone dokoła leżały rękawiczki, parasolka i chustka z napisem „*Maria Rogêt*”. Jest to właśnie takie rozmieszczenie, jakiego naturalnie dokonałby ktoś niezbyt przenikliwy, a chcący porozkładać te przedmioty naturalnie. Atoli nie jest to bynajmniej rozmieszczenie naprawdę naturalne. Wolałbym raczej widzieć wszystkie te rzeczy leżące na ziemi i podeptane nogami. W ciasnocie tego ustronia byłoby rzeczą prawie niemożliwą, aby spódniczka i szarfa pozostały nieporuszone na kamieniach w zamęcie, wynikłym z szamotania się wielu osób. „Znać było — jak powiadają — ślady walki; ziemia była zdeptana, krzewy połamane”, ale spódniczka i szarfa leżały, gdy je znaleziono, jak na półkach. „Strzępy odzieży, zwieszające się z krzewów, miały około trzech cali szerokości i sześciu cali długości”. Jeden z nich był kawałkiem rąbka od sukni i wykazywał ślady napraw. Wyglądały jak oddarte”. W tym miejscu „*Le Soleil*” posługuje się bezwiednie zwrotem nader podejrzanym. Opisane kawałki wyglądają istotnie „jak oddarte”, ale ręcznie i umyślnie. Jest to wypadek nadzwyczaj rzadki, by pod działaniem jakiegoś kolca taki kawałek jak ten, o którym jest mowa, „oddzierał się” od odzieży. Z właściwości naturalnych wszelkiej tkaniny wynika, że gwóźdź lub kolec, który o nią zaczepi, rozdziera ją prostokątnie — rozdziela ją dwiema podłużnymi szczelinami, pozostającymi w stosunku do siebie pod kątem prostym i stykającymi się u wierzchołka, to jest w tym miejscu, gdzie kolec zaczepił; natomiast jest rzeczą prawie niemożliwą wyobrazić sobie kawałek „oddarty”. Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem, i ty także. By odedrzeć kawałek tkaniny, trzeba niemal zawsze dwu odrębnych sił, działających w różnych kierunkach. Jeżeli tkanina ma dwa brzegi — jak na przykład chustka do nosa — i chce się udrzeć z niej kawałek, to w takim razie, lecz tylko w takim razie, wystarcza jedna siła.

<sup>42</sup>*pręt* — historyczna miara długości, w krajach anglosaskich licząca 16,5 stopy, tj. ok. 5 metrów. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*sassafras* a. *sasafra*s — aromatyczne, wiecznie zielone drzewo z rodziny wawrzynowatych, występujące w wsch. części Ameryki Płn. [przypis edytorski]

Wszelako w wypadku obecnym chodzi o suknię, która ma tylko jeden brzeg. Wydrzeć kawałek ze środka, gdzie nie ma brzegu, można by tylko jakimś cudownym sposobem przy współdziałaniu wielu kółców, nigdy zaś jednego. Atoli nawet tam, gdzie jest brzeg, potrzeba by dwu kółców, z których jeden działałby w dwu różnych kierunkach, a drugi w jednym. Przy tym należy przyjąć, że brzeg jest nieobrębiony. Jeżeli jest obrębiony, to omal nie ma o czym mówić. Widzimy zatem, jak znaczne i liczne następczą się przeszkody, gdy chodzi o oddarcie kawałka przez zwyczajne „ciernie”; tymczasem żąda się od nas, byśmy uwierzyli, że w ten sposób oddarł się nie jeden kawałek, lecz kilka. Przy tym jeden z nich był rąbkiem od sukni! Zaś drugi częścią zakładki, nie rąbkiem — to znaczy, że był wydarty zupełnie przez ciernie ze środka, a nie ze skraju spódnicy. Są to, moim zdaniem, rzeczy takie, że można wybaczyć, jeśli się w nie nie wierzy; wszelako razem wzięte stanowią być może mniej uzasadniony powód do podejrzeń niż ta zdumiewająca okoliczność, że przedmioty owe zostały w ogóle pozostawione w chaszczach przez zabójców, którzy byli na tyle przezorni, iż usunęli zwłoki. Nie zrozumiałeś mnie jednakowoż jak należy, jeżeli przypuszczasz, jakoby przeczył, iż gęstwina ta była widownią zbrodni. Mogło tam stać się coś złego lub, co prawdopodobniejsze, zaszło coś u Madame Deluc. Lecz w zasadzie jest to szczegół podrzędniejszego znaczenia. Podjęliśmy się odszukać nie miejsca, ale sprawców zbrodni. Wszystko to, co przytoczyłem, aczkolwiek było nader drobiazgowo, nie miało przecież nic innego na celu, jak wykazać ci najpierw niedorzeczność stanowczych i pochopnych zapewnień publicysty z „Le Soleil”, następnie zaś, i przede wszystkim, poprowadzić cię jak najprostszą drogą ku dalszemu, wątpliwemu zagadnieniu, czy to zabójstwo było dziełem szajki, czy też nie było.

Ograniczę się w tej sprawie do napomknienia o wstrząsających szczegółach, zeznanych przez chirurga na śledztwie. Dość powiedzieć, iż jego wnioski, które dostały się do wiadomości publicznej, a dotyczyły ilości rzezimieszków, przez wszystkich wybitniejszych anatomów paryskich zostały słusznie ośmieszone jako błędne i pozbawione wszelkiej podstawy. Nie dlatego, żeby nie mogło się stać, jak wywnioskował, lecz że nie było przesłanek do tego wniosku — a czyż nie było ich więcej do innego?

Zastanówmy się teraz nad „śladami walki” i zapytajmy, czego tymi śladami chciano by nam dowieść. Szajki. Lecz czyż nie dowodzą one raczej nieobecności szajki? Jakaż to walka — walka tak zacięta i przewlekła, iż pozostawiła ślady na wszystkie strony — mogła się odbyć między słabą i bezbronną dziewczyną a szajką domniemanych rzezimieszków? Ujęłoby ją w milczeniu kilka tęgich ramion i wszystko byłoby skończone. Ofiara musiałaby poddać się z bezwzględnością uległością ich woli. Uprzymińżeż sobie teraz, iż argumenty przemawiające przeciwko temu, jakoby ta gęstwina była widownią zbrodni, tylko o tyle mają zastosowanie, o ile mówi się o niej jako o widowni zbrodni popełnionej przez więcej niż jednego osobnika. Skoro jednak wyobrazimy sobie tylko jednego napastnika, to wówczas — lecz tylko wówczas — możemy zrozumieć walkę tak zaciętą i tak upartą, iż mogła pozostawić widoczne „ślady”.

I jeszcze jedno. Napomknąłem już o podejrzeniach, jakie wynikają z tej okoliczności, iż rzeczony przedmiot mógł pozostać nietknięty w gęstwinie, gdzie je znaleziono. Wydaje się rzeczą omal niemożliwą, by te dowody winy pozostawiono tam przypadkowo. Nie zbywało na przytomności umysłu (jak się przypuszcza), by zabrać zwłoki; natomiast dowody bardziej istotne niż te zwłoki (których rysy mogły szybko zmienić się pod wpływem rozkładu) porzucono wyzywająco na widowni zbrodni: mam na myśli chustkę z nazwiskiem zmarłej. Jeżeli zdarzył się taki przypadek, to nie szajce. Możemy go sobie wyobrazić tylko jako przypadek, który spotkał jednostkę. Przyjrzyjmy się! Jakiś osobnik dopuścił się zbrodni. Jest sam z widziadłem zmarłej. Przejmuje go grozą to, co leży przed nim nieruchomo. Szał namiętności minął i w jego opustoszałym sercu jawi się odruchowy lęk przed popełnionym czynem. Nie ma tej otuchy, jaką napawa zawsze obecność towarzyszy. Jest sam z zabita. Drży i truchleje. Trzeba jednakże zająć się trupem. Niesie go ku rzece, lecz pozostawia za sobą inne dowody winy, gdyż jest rzeczą trudną, a nawet niemożliwą zabrać wszystko od razu. Łatwiej będzie wrócić po to, co jeszcze zostało. Wszelako trwoga jego zwielokrotnia się w tym uciążliwym pochodzie. Dokoła niego szemrzą głosy życia. Raz po raz słyszy lub zdaje się mu, że słyszy stąpanie jakiegoś przechodnia. Przerażają go nawet światła, które jarzą się od strony miasta. Jednakże w końcu, po długich i częstych przystankach, pełnych niewysłowionej grozy, staje nad brzegiem rzeki i pozbywa

się swego upiornego brzemienia, posługując się zapewne łodzią. Ale teraz — czyż są takie skarby świata, czy istnieją takie groźby zemsty, które by mogły skłonić tego samotnego zbrodniarza, żeby tą samą znojną i niebezpieczną ścieżyną powrócił do owej gęstwiny i do wyległych w niej wspomnień, które mrozą krew w żyłach? Nie, niechaj będzie, co chce — on nie wróci! Nie mógłby powrócić, chociażby nawet chciał. Jedyna jego myśl to myśl o natychmiastowej ucieczce. Odwraca się raz na zawsze od tych straszliwych zarośli i pierzcha jak przed pościgiem zbliżającej się kaźni.

Jakże inaczej działałyby się z szajką! Sama ilość dodawałaby im odwagi, jeżeli w ogóle zbywało jej kiedykolwiek skończonym szubienicznikom, a tylko z takich skończonych szubieniczników mogła się składać owa domniemana szajka. Sama ich ilość — powtarzam — zapobiegłaby owej osłupiałej i nieopamiętanej grozie, która wedle mego mniemania ubezwładniałaby odosobnioną jednostkę. Jeżeli przypuścimy, że nie dopatrzyl czegoś jeden, nie dopatrzyl dwu lub trzech, to na pewno dopatrzyl czwarty. Nie pozostawiliby nic po sobie, gdyż było ich tylu, że mogli od razu zabrać wszystko. Nie byłiby potrzebowali wracać.

Zastanów się teraz nad tą okolicznością, że z odzienia zwierzchniego trupa „wydarto od samego dołu aż do pasa strzęp szerokości jednej stopy, który okręcono trzy razy dokoła kibici i zadzierzgnięto na krzyżu jak gdyby w pętlę”. Uczyniono to w oczywistym zamiarze sporządzenia czegoś w rodzaju rączki, za którą było można nieść zwłoki. Czyżby kilku ludziom przyszło do głowy posługiwać się podobnym urządzeniem? Dla trzech czy czterech kończyny trupa stanowiłyby ujęcie nie tylko dostateczne, lecz możliwie najdogodniejsze. Jest to pomysł jednostki, który naprowadza nas na ten szczegół, że „między gęstwiną a rzeką parkan był powalony, a na ziemi widniał ślad jak gdyby od jakiegoś wielkiego ciężaru, który wleczono tamtędy”. Ale czyżby kilku ludzi zadawało sobie zbyteczny trud powalania parkanu, by przeciągnąć na drugą stronę trupa, skoro mogli w okamgnieniu podnieść go w górę i przerzucić przez każdą zaporę? I czyżby kilku ludziom chciało się wlec w ten sposób zwłoki, by pozostały po nich widoczne ślady?

Wypadnie nam tu wziąć pod uwagę pewien szczegół z „Le Commercial”. Nad szczegółem tym już nieco się zastanawiałem. „Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny — pisze ów dziennik — długi na dwie stopy i szeroki na jedną, oddarto, okręcono dokoła jej szyi i zawiązano na karku, prawdopodobnie w tym celu, by stłumić jej krzyki. Uczynili to złościny, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa”.

Zaznaczyłem już przedtem, że skończony opryszek nie obywają się nigdy bez chustki do nosa. Wszelako nie o to obecnie mi chodzi. Że nie dla braku chustki posłużono się tą opaską — jak sobie wyobraża „Le Commercial” — świadczy dostatecznie chustka pozostawiona w gęstwinie. Że nie zamierzano „tłumić” w ten sposób „krzyków”, dowodzi ta okoliczność, iż użyto opaski zamiast użyć czegoś, co by znacznie lepiej odpowiadało temu zamierzeniu. Natomiast zeznania śledcze wyrażają się o owym strzępie, iż „wisiał luźno dokoła jej szyi i był zawiązany na mocny węzeł”. Słowa te są dość ogólnikowe, lecz różnią się istotnie od określeń z „Le Commercial”. Strzęp ten miał osiemnaście cali szerokości, więc złożony lub skręcony podłużnie mógł utworzyć mocną taśmę, aczkolwiek był z musliu. Jakoż przekonano się istotnie, że był skręcony. Mój wniosek brzmi, jak następuje. Samotny zbrodniarz, poniośszy zwłoki (z gęstwiny czy skądinąd, przy pomocy opaski okręconej dokoła kibici) na pewną odległość, przekonał się, że ten sposób dźwigania przewyższa jego siły. Postanowił zatem wlec swe brzemie — a są ślady, że wleczono jakiś ciężar. By ten zamiar wykonać, trzeba było przytwierdzić coś w rodzaju powroza do którejś kończyny. Najwłaściwiej było uwiązać go dokoła karku, gdyż nie mógł ześliznąć się przez głowę. Zabójca zamierzał niewątpliwie posłużyć się opaską, okręconą dokoła łędzwi. I byłby jej użył, gdyby nie to, że opasywała trupa, że przeszkadzała mu pętla, na którą ją zadzierzgnął, i że niezupełnie „była oddarta” od odzieży. Łatwiej było udrzeć nowy pas ze spódniczki. Udarł go, uwiązał dokoła szyi i powlókł w ten sposób swą ofiarę aż na brzeg rzeki. Że tej „opaski”, jedynej, jaka dała się sporządzić z trudem i stratą czasu, a jednak niezupełnie odpowiadała swemu celowi — że tej opaski w ogóle użyto, świadczy to, iż konieczność jej użycia wyniknęła z okoliczności, które się wytworzyły, kiedy chustki do nosa nie było już pod ręką, to znaczy, kiedy winowajca — jak to sobie wyobrażaliśmy — wynurzył się już z gęstwiny (o ile z niej wyszedł) i znajdował się w drodze między gęstwiną a rzeką.



Ale odpowiesz na to, iż Madame Deluc wyraźnie nadmienia w swych zeznaniach o obecności szajki w pobliżu tej gęstwiny i mniej więcej o tej samej porze, kiedy nastąpiło zabójstwo. Przysnągę. Nie wątpię nawet, iż cały tuzin szajek, podobnych do opisanej przez Madame Deluc, mógł wałęsać się w pobliżu Barrière du Roule podczas owej tragedii. Atoli szajka, która ściągnęła na siebie stanowczą niechęć, objawioną w nieco spóźnionych i mocno podejrzanym zeznaniach Madame Deluc, wedle oświadczenia tej zacnej i w rzeczach sumienia nader drażliwej matrony, jedynie najadła się u niej ciastek i pokrzepiła się u niej wódką, nie pomyślawszy o zapłacie. *Et hinc illae irae!*<sup>44</sup>

Jakież jest dokładne brzmienie zeznania Madame Deluc? „Pojawiła się szajka opryszków, którzy zachowywali się hałaśliwie, nie zapłacili za potrawy i napoje, poszli tą samą drogą, co młodzieniec i dziewczyna, powrócili do gospody, kiedy miało się ku zmierzchowi i przeprawili się z powrotem przez rzekę, jak gdyby z wielkim pośpiechem”.

Otóż ten „wielki pośpiech” wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wydał się jeszcze większy oczom Madame Deluc, kiedy rozmyślała, smętna i bolejąca, nad losem swych ciastek i piwa, do ostatniej chwili żywiąc nikłą nadzieję na zapłatę. Bo i dlaczegoż, kiedy miało się ku zmierzchowi, przemawiała się tak bardzo tym pośpiechem? Zaiste, nie można się dziwić, że nawet szajka opryszków śpieszy się z powrotem do domu, gdy trzeba przepłynąć wielką rzekę w wątych łodziach, przy zapadającej nocy i nadciągającej burzy.

Powiadam: zapadającej, gdyż noc jeszcze nie zapadła. Miało się dopiero ku zmierzchowi, kiedy nieprzyzwoity pośpiech tych „oprysków” skaził czyste spojrzenie Madame Deluc. Aliści wmawia się w nas, że właśnie tego samego wieczora Madame Deluc i jej najstarszy syn „usłyszeli krzyki kobiece w pobliżu gospody”. A jakimż to słowy określa Madame Deluc tę chwilę wieczorną, kiedy owe krzyki się rozległy? „Było to wnet po nastaniu ciemności”. Jednakże „wnet po nastaniu ciemności” oznacza co najmniej ciemność, natomiast przez słowa „miało się ku zmierzchowi” należy bezsprzecznie rozumieć światło dzienne. Jest zatem rzeczą najzupełniej jasną, iż szajka opuściła już Barrière du Roule, kiedy Madame Deluc przesłyszały się (?) owe krzyki. I aczkolwiek we wszystkich licznych sprawozdaniach ze śledztwa te dwa wyrażenia powtarzają się nieodmiennie i jota w jotę tak samo, jak je przytoczyłem w rozmowie z tobą, to jednak żaden dziennik ani żaden urzędnik policyjny nie zauważył dotychczas ogromnej sprzeczności, jaka między nimi zachodzi.

Dorzucę jeszcze tylko jeden argument przeciwko owej szajce; wszelako jest to argument, który, przynajmniej w moim przekonaniu, jest wprost nieodparty. Jeżeli się zważy szczerą nagrodę i zupełną bezkarność, przyrzeczoną publicznie za wydanie w ręce władz zbrodniarzy, to niepodobna ani przez chwilę pomyśleć, by nie znalazł się ktoś spośród szajki spodlonych rzezimieszków czy też innej gromady ludzkiej, który by nie zdradził swych współwinowajców. Uczestnicy takich szajek nie tyle dbają o nagrody i drżą o swe ocalenie, co lękają się zdrady. Zdradzają sami chętnie i rychło, by nie być zdradzonymi. Że tajemnicy nie ujawniono, jest to najlepszym dowodem, iż istotnie jest ona tajemnicą. Okropność tego piekielnego czynu znana jest jednej lub dwu istotom ludzkim i Bogu.

Streścmy teraz szczypty, lecz niezawodny plon naszej długiej analizy. Doszliśmy do przeświadczenia, iż albo targnięto się na życie pod dachem Madame Deluc, albo dopuszczono się zbrodni w gęstwiny koło Barrière du Roule i że sprawcą był kochanek lub przynajmniej zaufany i tajny towarzysz zmarłej. Ma on śniadą cerę. Ta cera, pętla opaski oraz „węzeł” zadziergnięty w wstążce od kapelusza każą domyślać się marynarza. Poufałość jego ze zmarłą, lekkomyślność, lecz bynajmniej nie znikczemniałą dziewczyną, dowodzi, iż jest czymś więcej niż zwykłym marynarzem. Za przypuszczeniem tym przemawiają również dobrze napisane i natarczywe komunikaty, rozesłane do dzienników. Przypomniany przez „Le Mercure” szczegół o pierwszej ucieczce każe skojarzyć tego marynarza z owym „oficerem marynarki”, o którym jest wiadomo, iż pierwszy sprowadził nieszczęśliwą na złe drogi.

I oto, we właściwą porę, nasuwa się pytanie, czym tłumaczyć sobie przewlekłą nieobecność tego człowieka o śniadej cerze. Trzeba tu zaznaczyć, iż cera jego jest smągła i śniada; nie była to zwykła śniadość, skoro zarówno dla Valence’a, jak dla Madame De-

<sup>44</sup>*Et hinc illae irae!* (łac.) — i stąd te gniewy; parafraza cytatu „*hinc illae lacrimae*” (stąd te łzy), z komedii Terencjusza *Andria* (I 1), używanego do wskazania wykrytej nieoczywistej przyczyny czyjegoś zachowania. [przypis edytorski]

luc stanowiła jedyny zapamiętany szczegół. Ale dlaczego ten człowiek jest nieobecny? Czy zginął z rąk szajki? Jeżeli tak, to czemuż pozostały ślady tylko po zabitej dziewczynie? Widownia obu zabójstw musiałaby być oczywiście ta sama. I gdzie są jego zwłoki? Zabójcy byłiby z obojgiem postąpili najprawdopodobniej w ten sam sposób. Atoli mógłby ktoś powiedzieć, że ten człowiek żyje, lecz nie chce, żeby wiadano o nim, z obawy, iż mógłby być posądzony o zabójstwo. Wzgląd ten mógłby oddziaływać na niego teraz — w obecnym, późnym okresie — kiedy w śledztwie się okazało, iż widziano go w towarzystwie Marii, ale nie mógł mieć dlań znaczenia w okresie zbrodni. Pierwszy odruch niewinnego człowieka nakazywałby mu donieść o przestępstwie, przyczynić się do odszukania złoczyńców. Skłoniłaby go do tego bodaj roztropność. Widziano go z dziewczyną. Przepływał z nią rzekę na odkrytym promie. Wskazanie zabójców wydawałoby się w takich okolicznościach nawet idiotycie najpewniejszym i jedynym sposobem uniknięcia podejrzeń. Nie możemy przypuścić, żeby nocą owej pamiętnej niedzieli nie tylko był niewinny, lecz także nic nie wiedział o popełnionej zbrodni. A jednak tylko w takim razie można by zrozumieć, dlaczego zaniedbał, jeżeli żyje, wskazać zabójców.

Jakimiż środkami rozporządzamy, by dowiedzieć się prawdy? Środki te będą się pomnażały i nabierały wyrazistości w miarę dalszych naszych postępów. Przesiejmy przez gęste sito historię pierwszej ucieczki. Poznajmy dokładnie owego „oficera”, okoliczności, w jakich obecnie się znajduje, i co porabiał, kiedy dokonywała się zbrodnia. Porównajmy starannie rozesłane do wieczornych dzienników różne komunikaty, których zadaniem było zwalić odpowiedzialność na szajkę. Zrobiwszy to, porównajmy styl, pismo i wygląd ich rękopisów z rękopisami listów rozesłanych poprzednio do dzienników porannych, a oskarżających zapamiętałe Mennais’go. Kiedy zaś to wszystko już będzie zrobione, przystąpmy do porównania tych komunikatów ze znanymi rękopisami tegoż oficera. Przesłuchajmy ponownie Madame Deluc, jej malców i konduktora omnibusu, Valence’a, ażeby dowiedzieć się czegoś więcej o powierzchowności i zachowaniu się „człowieka o śniadej cerze”. Za pomocą umiejętnie zadawanych pytań wydobędzie się niewątpliwie od któregoś z tych świadków wiadomości dotyczące tego szczegółu (albo też innych) — wiadomości, z których posiadania ci świadkowie sami nie zdają sobie sprawy. Zajmijmy się potem sprawą łodzi złowionej przez przewoźnika w poniedziałek rano, dnia dwudziestego trzeciego czerwca, a zabranej następnie przez kogoś z urzędu portowego bez wiedzy służbowego urzędnika i bez steru, na krótko przed znalezieniem trupa. Przy odpowiedniej przezorności i wytrwałości zdołamy niezawodnie wysledzić tę łódź, gdyż pozna ją zapewne przewoźnik, który ją znalazł, a ponadto mamy ster w ręku. Steru żaglowej łodzi nie pozostawiłby na przepadłe człowiek, który ma czyste sumienie. Nasuwa się tu jeszcze jedno zagadnienie. Nie było publicznego zawiadomienia o znalezieniu tej łodzi. Po cichu sprowadzono ją do urzędu portowego i po cichu ją stamtąd zabrano. Czymże to jednak wytłumaczyć sobie, iż jej właściciel czy dzierżawca zdołał już we wtorek rano, bez zawiadomienia publicznego, dowiedzieć się, gdzie znajduje się łódź złowiona w poniedziałek — jeżeli nie przyjmujemy, że pozostaje on w jakimś stosunku do marynarki — w jakimś stosunku, osobistym i stałym, ułatwiającym znajomość drobiazgowych spraw i miejscowych nowinek?

Mówiąc o samotnym złoczyńcy wlokącym swe brzemień ku rzece, napomknąłem już, że prawdopodobnie posłużył się łodzią. Możemy więc dorozumiewać się, że Marię Rogêt wyrzucono z łodzi. Odbłyło się to najzupełniej po prostu. Zwłok niepodobna było powierzyć płytkim wodom przybrzeżnym. Osobliwsze znamiona na grzbiecie i barkach ofiary przypominają żebrowania na dnie łodzi. Umacnia w tym przeświadczeniu także ta okoliczność, iż do zwłok nie przywiązano ciężaru. Byłyby obciążone, gdyby je wrzucono z brzegu. Nie przytwierdzono ciężarów prawdopodobnie dlatego, iż zabójca nie był dość przezorny, by zaopatrzyć się w nie, zanim odbił od brzegu. Wrzucając trupa do wody, zauważył niezawodnie swe przeoczenie, ale nie miał nic pod ręką, by na nie zaradzić. Wolał narazić się na wszelkie niebezpieczeństwa niż powrócić do strasliwego brzegu. Pozbywszy się swego upiornego brzemienia, zabójca podążył pośpiesznie ku miastu. Wyłądował zapewne w jakiejś niepozornej przystani. Czy jednak pomyślał o zabezpieczeniu łodzi? Zbyt się śpieszył, żeby zajmować się takimi rzeczami. Przy tym, przywiązując łódź w przystani, byłby doznawał wrażenia, iż przytwierdza oto dowód, który go obwini. Naj-

prostsza jego myślą było odtrącić możliwie najdalej od siebie wszystko, co miało jakąkolwiek łączność z jego zbrodnią. Nie tylko sam pragnął ująć z przystani, ale też nie mógł pozwolić, żeby tam łódź pozostała. Najpewniej odepchnął ją od brzegu i puścił z prądem.

Podążajmy dalej za naszą wyobraźnią. Nazajutrz rano nikczemnika ogarnął niewysłowiony lęk, gdy zobaczył, że łódź przytrzymano i odstawiono do miejsca, dokąd codziennie uczęszczał — do miejsca, w którym być może musiał bywać z obowiązku. Następnej nocy zabrał ją, nie odważając się upomnieć o ster. Gdzież jest zatem ta łódź, pozbawiona steru? Najpierwszym naszym zadaniem będzie ją odszukać. Skoro tylko czegoś się o niej dowiemy, zaświta jutrzeńka naszego powodzenia. Z chyżością, która nas samych zadziwi, łódź ta poprowadzi nas do człowieka, który posłużył się nią w nocy owej złowrogiej niedzieli. Dowody będą wynikały z dowodów i wpadniemy na trop zbrodniarza.

Z powodów, których nie wymieniamy, lecz które są aż nadto jasne dla całej rzeszy naszych czytelników, pozwalamy sobie pominąć tę część dostarczonego nam rękopisu, która zawiera szczegółowy opis śledztwa przeprowadzonego wedle nikłych na pozór poszlak, wykrytych przez Dupina. Uważamy tylko za właściwe nadmienić, że pożądaný cel osiągnięto i że prefekt wywiązał się sumiennie, acz niechętnie, ze swej umowy z Chevalierem.

Mr. Poe kończy swą pracę następującymi słowami:<sup>45</sup>

Rozumie się samo przez się, iż mówię o zbiegu okoliczności i niczym więcej. To, co powiedziałem poprzednio o tym przedmiocie, winno wystarczyć. W głębi duszy nie wierzę w rzeczy nadprzyrodzone. Żaden człowiek myślący nie zaprzeczy, iż czym innym jest Bóg, a czym innym przyroda. Że Bóg, stworzywszy przyrodę, może nią wedle swej woli władać i ją przekształcać, to nie ulega również wątpliwości. Powiadam „wedle swej woli”, gdyż jest to zagadnienie woli, nie zaś, jak niedorzeczna logika przypuszcza, potęgi. Nie chodzi o to, jakoby Bóstwo nie mogło zmieniać swych praw, lecz o to, iż bluźnimy Mu, wyobrażając sobie, jakoby zmiany były potrzebne. Od samego początku prawa te były postanowione w ten sposób, iż ogarniały wszechmożliwości, jakie by mogła przynieść z sobą Przyszłość. Dla Boga wszystko jest Terazniejszością.

Powtarzam zatem, iż mówię o tych rzeczach jedynie jako o zbiegach okoliczności. I dodam jeszcze: opowieść moja wykazuje, iż między dolą nieszczęsnej Marii Cecylii Rogers, przynajmniej o ile dola ta jest nam znana, a dolą niejkiej Marii Rogêt aż po pewien okres jej historii zachodzi tak przedziwnie dokładna równoległość, iż rozum pograża się w zakłopotaniu. Powiadam, iż zaznacza się to nader wyraziście. Wszelako niechaj nikt ani na chwilę nie przypuszcza, iż snując żalostną opowieść o Marii od chwili właśnie wspomnianej i śledząc osłaniającą ją tajemnicę aż do jej rozwikłania, zamierzałem skrycie uwydatnić rozciągłość tej równoległości lub chociażby poddać myśl, jakoby zarządzenia poczynione w Paryżu celem wykrycia zabójcy gryzетки albo też zarządzenia oparte na jakichkolwiek podobnych podstawach rozumowych mogły dać podobne wyniki.

Albowiem, o ile chodzi o drugą część tego przypuszczenia, trzeba zważyć, iż najdrobniejsza odmienność okoliczności w obu tych zdarzeniach mogłaby stać się przyczyną najzupełniej błędnego wnioskowania, gdyż wywołałaby zupełną rozbieżność między dwoma prądami wypadków. Stałoby się podobnie jak w arytmetyce, gdzie błąd, który sam w sobie może być nieznaczny, w dalszym przebiegu skutkiem oddziaływania wielokrotności staje się w końcu przyczyną wyniku niezmiernie odbiegającego od prawdy. Jeżeli zaś powrócimy jeszcze do części pierwszej, to nie można zapominać, że tenże sam rachunek prawdopodobieństwa, na który się powoływałem, zabrania wszelkiej myśli o rozciąganiu tej równoległości — zabrania jej ze stanowczością, niezłomną i surową, ile że zgodność ta posiadała już swą ścisłość i rozciągłość. Jest to jedna z tych niezwyčajnych zasad, które pozornie odwołują się do myśli niemającej nic wspólnego z matematyką, a jednak w całej pełni uznane być mogą tylko przez matematyków. Nie ma, na przykład, nic trudniejszego, niż przekonać niewtajemniczonego w te zagadnienia czytelnika, że jeżeli komuś grającemu w kości zdarzy się wyrzucić raz za razem szóstkę, to można założyć się o największą stawkę, iż za trzecim razem szóstki nie uda się wyrzucić. Pomysł

<sup>45</sup>Z powodów, których nie wymieniamy... — przypisek redakcji czasopisma, w którym ta praca po raz pierwszy się ukazała. [przypis autorski]

takiego następstwa intelekt zazwyczaj od razu odręca. Nie wydaje się rzeczą możliwą, żeby dwa rzuty, już dokonane i pogrążone bezwzględnie w Przeszłości, mogły mieć wpływ na rzut, który istnieje dopiero w Przyszłości. Szansa na wyrzucenie szóstki wydaje się dokładnie taka sama, jak kiedy indziej — to znaczy, zależna tylko od wpływu różnych innych rzutów, które można wykonać tą kością. Refleksja ta ma pozory tak niezawodnej oczywistości, iż przecząc jej, spotyka się częściej drwiący uśmiech niż odruch pełnej poszanowania uwagi. Tego błędu — grubego błędu, trącającego szkodliwością — nie mogę wykazać w granicach, które na teraz sobie wytyczyłem; zresztą umysłem filozoficznym nie potrzeba go wykazywać. Dość będzie, gdy powiem, że stanowi on cząstkę nieskończonych szeregów pomyłek, które powstają na drodze Rozumu skutkiem właściwej mu skłonności do szukania prawdy w szczegółach.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/poe-tajemnica-marii-roget/>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Allan Poe, *Opowieści tajemne*, tłum. S. Wyrzykowski, Instytut Wydawniczy "Biblioteka Polska", Warszawa 1924.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie w egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7032-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).